

m
n
e
m
o
s
y
n
e

MAGDALENA BYLCZYŃSKA

PAMIĘTNIK GALICJANKI
(1914-1917)



Tm

PAMIĘTNIK GALICJANKI
(1914-1917)

MAGDALENA BYLCZYŃSKA

PAMIĘTNIK GALICJANKI

(1914-1917)

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ

Maciej Dęboróg-Bylczyński

BRANICE 2012

MNEMOSYNE No 1

© Copyright by Maciej Dęboróg-Bylczyński 2012

Projekt okładki Maciej Dęboróg-Bylczyński

ISBN 978-83-62319-04-6

**OFICYNA WYDAWNICZA
ZAKŁADU AKTYWNOŚCI ZAWODOWEJ
im. Jana Pawła II**

B R A N I C E

Wprowadzenie

Autorka utworu

Pani Bylczyńska (z domu Weber von Webersfeld)

urodziła się w okolicach Brodów w roku 1887. Miejsce jej urodzin – Majdan Pieniacki – był małą wieściną galicyjskiej prowincji c. k. monarchii austriackiej. To w tym, oddalonym zaledwie o kilka kilometrów od podhoreckiego pałacu książąt Sanguszków, a kilkadziesiąt dalszych od granicy austriacko-rosyjskiej, urodziła się późną jesienią wspomnianego – 1887 roku – Magdalena Webersfeld. W owym czasie ten nadgraniczny powiat (jak i samo jego serce – Brody) był tętniącym życiem swoistym tygłem wyznań, kultur i... interesów. Przez stolicę powiatu co rusz przewijały się czarne chałaty licznych tutaj starozakonnych myślicieli, mundury cesarsko-królewskich urzędników, tajnych radców i policmajstrów, czy też bogate szynele handlujących na granicy kupców. Ściągał też i teatr wędrowny, aby ucieszyć gawieź, rozbawić wodewilem czy „komedią”, a przy okazji może i przemycić jakąś myśl narodową, patriotyczną, polską... W takich to okolicznościach pojawiła się na tych (można by rzec) Kresach Galicji – trupa Edwarda Webersfelda. Webersfeld wówczas był już znanym aktorem, mającym za sobą niejedną teatralną przygodę. Po rozwodzie z Ludwiką Wołowicz przestał grywać z nią role amantów w trupie jej ojca – Ksawerego Wołowicza. Zjechawszy z drugą żoną – Pauliną Sikołowską – do

Podhorców, obchodził właśnie dwudziestolecie swej pracy na służbie u Melpomeny, gdy jego ciężarna żona obdarzyła go tuż przed własnym benefisem córeczką. Niestety matka Magdaleny nie cieszyła się już wówczas dobrym zdrowiem, które nadwyreżone trudami aktorskich wojaży, ciążą i porodem, przypomniało o sobie. Po jej nagłej śmierci Edward postanowił ożenić się po raz kolejny (z mieszkanką Brodów - Rozalią Holmann) i ostatecznie ustabilizować swoją sytuację materialną. To właśnie **Rozalia z Holmannów Webersfeld (1847-1936) – „matka” (właściwie: macocha) Magdaleny jest niejako współautorką tej wojennej relacji (czy to będąc przywołaną przez „córkę”, czy wprost prowadząc narrację na kartach tego pamiętnika)**. Państwo Webersfeldowie zamieszkali we Lwowie, gdzie ojciec Magdaleny podjął (w 1897 r.) posadę – najpierw adiunkta, a następnie c. k. rewidenta w Izbie Rachunkowej lwowskiego Magistratu. Córkę postanowił zawierzyć muzie Muzyki, toteż oddał swą jedynaczkę na nauki do szkoły profesora Karola Mikulego. Był to bodaj najlepszy z możliwych wyborów, wszak wszyscy w stolicy Galicji znali umiejętności pedagogiczne byłego ucznia samego Fryderyka Chopina. Po śmierci Mikulego szkołę prowadziła jego żona, która podjęła się przygotowania panny Webersfeld do podjęcia nauki w lwowskim Konserwatorium Muzycznym. Pilna uczennica klasy fortepianu była stałą bywalczynią na licznych koncertach organizowanych m. in. przez Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne we Lwowie. To właśnie na jednym z takich koncertów poznała swojego przyszłego męża – ówczesnego krytyka muzycznego i profesora gimnazjalnego – Jakuba Bylczyńskiego. W 1908 roku młodzi pobrali się, a rok później

urodził im się syn, Paweł. Pani Bylczyńska podjęła się nauki śpiewu i gry na fortepianie w jednej z prywatnych szkół muzycznych.

Spokój Lwowian zakłócony został wraz z nadejściem linii frontu. Jakub został aresztowany i wywieziony wraz z kilkoma innymi profesorami gimnazjalnymi najpierw do Rostowa nad Donem, a później do Saratowa nad Wołgą. Jak się później miało okazać – ta kilkuletnia zsyłka zaciążyła nad dalszym życiem Bylczyńskich, rozbijając już na zawsze to małżeństwo.

W atmosferze patriotycznego zrywu pani Bylczyńska zaciąga się do Ochotniczej Ligii Kobiet, swoistej „kobiecej milicji”, której organizatorką jest mjr Aleksandra Zagórska. Także i swojego jedenastoletniego synka nie potrafi zatrzymać w domu. Za nadzwyczajną postawę w obronie niepodległości oboje zostają odznaczeni Krzyżem Obrony Lwowa.

Perypetie jej życia z lat 1914-1917 opisuje właśnie niniejszy dokument literacki.

Wskreszenie nowej Polski odbiera pani Bylczyńska jako wyzwanie dla siebie i za namową lwowskich przyjaciół, zdając sobie sprawę z niedostatków kadrowych na zachodnich rubieżach odrodzonej ojczyzny – postanawia przeprowadzić się do Bydgoszczy. Tu przecież – na gruzach przedwojennego *Bromberger Konservatorium der Musik* – powołano do życia polską placówkę szkolnictwa muzycznego. Zamieszkawszy z synem w sercu miasta (w kamienicy przy ulicy Gdańskiej) rozpoczęła pani Bylczyńska, jak wielu jej podobnych – bydgoszczan o kresowych korzeniach – pracę

nad wskrzeszeniem (uszczerbionych latami wojny) bogatych tradycji muzycznych i kulturalnych Grodu nad Brdą.

Wybuch kolejnej wojny przyniósł miastu nad Brdą szczególne zagrożenie ze względu na licznie tutaj zamieszkałych Niemców. Działająca tu piąta kolumna ze szczególnym okrucieństwem odnosiła się do zamieszkałej na Pomorzu inteligencji polskiej. To „specjalne” traktowanie ziem, które hitlerowcy uważali za pruskie, przyniosło konsekwencje w sporządzeniu listy polskich urzędników, naukowców, pedagogów. W spisie tym znalazł się również ówczesny nauczyciel muzyki – Konrad Pałubicki. W obliczu realnego zagrożenia życia Magdalena postanowiła podjąć zdecydowane kroki. Za jej radą Pałubicki zmienił nieznacznie nazwisko (na Pałubiński), po czym rodzina Bylczyńskich, wraz z przyszłym kompozytorem, opuściła miasto. Najpierw schroniła się w małej miejscowości pod Płockiem (Gostyninie), gdzie mieli swój dom teściowie syna pani profesor. Gdy jednak i tu przestało być bezpiecznie, wyjechali do Warszawy. Ale i stolica okupowanego kraju miała okazać się tylko „punktem przesiadkowym” w tych trudnych wojennych latach. Teściowie syna Magdaleny zostali wywiezieni do obozu pracy w Bolesławcu (*Bunzlau* na Dolnym Śląsku). Natomiast syn pani Bylczyńskiej – Paweł (członek warszawskiej AK) ostrzegał przed zbliżającym się wybuchem powstania. Niewiele myśląc, pani Bylczyńska zdecydowała wyjechać do Krakowa, gdzie ona, jej wnuczka i prof. Pałubicki zatrzymali się u przyjaciół Bylczyńskich – państwa Walasów. Jednak u tu nie było bezpiecznie. Żona profesora Walasa (spokrewniona z rodzicami Wisławy Szymborskiej) aktywnie wspierała akcje charytatywne na

rzecz rodzin pochodzenia żydowskiego. Pani Bylczyńska (chcąc zapewnić utrzymanie dla swoich bliskich) wystarała się o lekcje gry na fortepianie, zaś Konrad Pałubicki – wobec dość częstych kontroli gestapo w domu państwa Walasów – ratował się symulowaniem szkarlatyny. Tych kilka kolejnych, spędzonych razem lat połączyło profesora Pałubickiego z rodziną Bylczyńskich. Naturalnym więc było, że gdy wrócili do Bydgoszczy, zamieszkali znów razem (przy ul. Gdańskiej, przemianowanej później na 1 Maja). Wychodząc niejako naprzeciw przymusowym dokwaterowaniom (polityce lokalowej władzy ludowej) przewidująca pani Bylczyńska przyjęła pod swój dach rodzinę innego muzyka (również swojego wychowanka, a późniejszego profesora AM w Gdańsku) – Pawła Podejki. W dalszym ciągu udzielała lekcji muzyki. Czuwała też nad rozwojem muzycznym swoich podopiecznych – panów Podejki i Pałubickiego. Była dobrym duchem, patronującym powstawaniu wielu kompozycji prof. Pałubickiego (m. in. bydgoskiego hejnału, do którego to konkursu stanął kompozytor po wielu prośbach swojej mentorki). Choć zawodowo pani Magdalena pozostawała zawsze w cieniu swoich wychowanków (prowadziła przecież jedynie w latach 60-tych jedynie sekcję fortepianu przy Społecznym Ognisku Artystycznym, przemianowaną później na Społeczną Szkołę Muzyczną i Społeczne Ognisko Baletowe, której notabene była - wraz pierwszym kierownikiem muzycznym Studia Operowego Zdzisławem Wendyńskim – współzałożycielką), to jej wkład w rozwój życia muzycznego po latach okazał się nieoceniony. Pani Bylczyńska zmarła w Bydgoszczy w 1966 r. – pozostając na zawsze

w pamięci swoich uczniów – dziś niejednokrotnie animatorów życia muzycznego w wielu pomorskich miastach.

Niestety nie ofiarowała potomnym innego zapisu swojego nietuzinkowego życia poza zapisem tych kilku lat I Wojny Światowej w Galicji, jaki trzymamy teraz w dłoniach.

Pamiętnik Galicjanki

Akcja utworu zasadniczo rozgrywa się we Lwowie i okolicy (w trójkącie: Lwów – Żółkiew – Brody). Zarówno autorka *Pamiętnika...* (jak i jej bliscy) mieszkali bowiem w niewielkich majątkach ziemskich w **Odnowie, Kulikowie i Stronibabach**.

Dyskretna narratorka tej historii ukrywa personalia ziemian pod inicjałami. Skądinąd wiemy jednak, że w Kulikowie i Stronibabach mieszkwały rodziny Młodnickich i Obertyńskich (**Józef i Beata Obertyńscy**). Beata (1898-1980) – znana później publicystka i pisarka – była córką młodopolskiej poetki - Maryli z Młodnickich Wolskiej (1873-1930) - żony Wacława Wolskiego (1865-1922) - blisko spokrewnionej z rodziną Henryka Rodakowskiego, zaś wnuczką (co może watro odnotować w tym miejscu) Wandy (z domu Monné, 1850-1923) narzeczonej Artura Grottgera, następnie żony cenionego lwowskiego artysty malarza – Karola Młodnickiego (1835-1900). Stronibaby i Kulików odnajdziemy również we wspomnieniach krakowskiego profesora - Jacka Woźniakowskiego, który w licznych swych wspomnieniach poświęcił wiele miejsca rodzinnym stronom swoich krewnych.

Zapis pamiętnikarski Magdaleny Bylczyńskiej jest więc poniekąd także kolejną ilustracją kilku lat życia tej rodziny.

Jeżeli chodzi o problematykę utworu – czytelnik znajduje się niejako w epicentrum wojennych wypadków. Zarówno w mieście (Lwowie) jak i na galicyjskiej prowincji (w ziemiańskich majątkach) dane jest nam obserwować wypadki wojenne z dużego przybliżenia, niemalże w nich uczestnicząc. Przydaje to autentyczności tej relacji. Narratorka bowiem operuje szczegółem, przemawia prostymi faktami, a tym samym uzyskuje – zamierzony jak się zdaje, bardzo plastyczny i działający na wyobraźnię – efekt. Sprawia mianowicie, że dajemy jej wiarę bez zastrzeżeń. I poznajemy sytuację zwykłych (chciałoby się rzec) ludzi, Galicjan, w latach I Wojny Światowej. Najmocniejszą stroną tej diarystyki są bowiem szczegółowe, skrupulatnie notowane detale: wzrastające ceny produktów spożywczych, prozaicznie problemy ludności w warunkach wojennych etc.

Ale zapis pamiętnikarski Bylczyńskiej to również tragiczna w swej wymowie relacja z dni zagłady jej galicyjskiej Arkadii. To pożoga dworów i wiejskich chutorów. Toteż apokaliptyczna relacja *Pamiętnika Galicjanki* stawia go, w swej wymowie, w pobliżu takich, znanych z literatury kresowej XX wieku, realizacji toposu utraconego Kraju Lat Dziecinnych, jak choćby – pisana w tym samym czasie przez pisarkę tegoż samego pokolenia literackiego - *Pożoga (Wspomnienia z Wołynia 1917-1919)* Zofii Kossak-Szczuckiej (1889-1968).

Autorka *Pamiętnika Galicjanki* posługuje się swoistą autocenzurą. Wiele nazw osobowych (czy miejscowych) podaje wyłącznie z pierwszej litery (nazwiska, nazwy). Tłumaczyć ten zabieg należy tym, że choć nie jest to dziennik, to jednak dystans czasowy pomiędzy opisywanymi zdarzeniami, a chwilą ich konkretyzacji w formie paraliterackiej był stosunkowo niewielki. Zabieg ten również uautentycznia opowiadaną na kartach książki opowieść, czyniąc z niej ważny dokument epoki. Utrudnia to jednak nam współczesnym precyzyjną identyfikację miejsc, osób i zdarzeń, będących tematem pamiętnikarskiego zapisu. Tym samym *Pamiętnik Galicjanki* wymyka się naszemu badawczemu oku i częściowo traci cenny walor źródła parahistorycznego. Anonimowość samej autorki (na kartach tekstu) można postrzegać w pewnym sensie jako walor. Nadaje ona bowiem i tekstowi, i jego twórcy, pewne cechy uniwersalne, dzięki którym mamy prawo widzieć w diarystce niejako reprezentatywną, charakterystyczną postać epoki.

Konwencja stylistyczna utworu – choć w głównym zrębie – zdradzająca zacięcie reporterskie, wkracza momentami w obszary języka literackiego. Ten ostatni – soczysty, barwny, właściwy swojej epoce; pełen germanizmów, rutenizmów i francuszczyzny, jest przecież w swej różnorodności ciekawym wyrazem galicyjskiego tygla kulturowego. Godny uwagi jest również specyficzny humor galicyjski, wspaniale połączony na kartach utworu z ciętą satyrą środowiskową i polityczną lat wojny. Można w tej satyrze doszukać się niestety i słusznie rażących dzisiejszego czytelnika (i dodajmy od

razu - piszącego te słowa - niżej podpisanego redaktora) pewnych zabarwień antysemickich, niemniej - nie pozbawionych wartości jako swoiste dopełnienie kolorytu epoki.

Pomimo wspomnianych niedostatków, wierzymy, że lektura ta przynieść może wiele satysfakcji wszystkim, którym bliska jest pamięć przodków i szacunek do kulturowego dziedzictwa. Kierujemy te słowa do Państwa - orędowników ocalającej pamięci - dla których Kresy to nie tylko mity i duchy przeszłości, ale świat wiecznie żywy - w sercach, ale też realnie - za rogatkami miast, opłotkami domów, albowiem (by przywołać *credo* Czesława Miłosza) - *nikt nie żyje sam: rozmawia z tymi, co przeminęli [...]. Z ich nadziei i przegranej, ze znaków, jakie po nich zostały, choćby to była jedna litera wykuta w kamieniu, rodzi się spokój i powściągliwość w wypowiedaniu sądu o sobie. Dane jest wielkie szczęście tym, co umieją je zdobyć. Nigdy i nigdzie nie czują się bezdomni, wspiera ich pamięć o wszystkich dążących jak oni do nieosiągalnego celu...*

Maciej Dęboróg-Bylczyński

Sosnowiec, w marcu 2012 r.

Pierwsze wrażenia

Wjeżdżający do Lwowa wojskowi austriaccy byli jeszcze przez cztery następne dni obsypywani kwiatami. Ciągnęły pułki piechoty, artyleria z armatami, na śmiercionośnych lufach chwiały się pęki róż, jaśminów i lewkonii. Przywykli do owacji, sami wołali „hoch” gdyśmy w milczeniu kwiaty rzucali. Automobile były założone takim dobrem gatunków i karnacji, że niektóre mogły rywalizować z oknem wystawowym Starcka.

Jednym z pierwszych Polaków, którzy 22. czerwca przyjechali do Lwowa, był pułkownik Sulimirski¹. Zsiadł z konia przed katedrą, naręcza otrzymawszy kwiatów złożył u stóp ołtarza, a sam kwadrans leżał krzyżem, dziękując Bogu za Jego nad rodzinnym miastem opiekę. Czyn odruchowy i szczerzy, godzien średniowiecznego rycerza. Jedyna podniosła demonstracja. Dzięki Bogu postąpił tak Polak, wynagrodził nam niejedno, co raziło nasze słowiańskie, trochę subtelniejsze uczucia, dla których ta postawa „Siegerów”, te

¹ **Tadeusz Sulimirski (1866-1940)** w 1915 r. otrzymał awans na podpułkownika c. i k. kawalerii. Był dowódcą dywizjonu w 43 Dywizji Piechoty Alberta Schmidt von Georgeneegg.

okrzyki *“hoch”*, którymi nas do owacji zachęcano, wydawały się jakby doraźną o wdzięczność przymówką.

Niektóre rodziny mieszczańskie zapraszały do siebie oficerów niemieckich na obiad, kolację, lub w stałą gošcinę. Myśl była piękna. Były to zwykle domy, których syn lub brat służył w wojsku, ale nie mógł zjawić się we Lwowie, gdyż pułk jego inne miał przeznaczenie. Pewien oficer huzarów, którego jacyś państwo przez okno wybrali i zaprosili do siebie, opowiadał mi później, jak rozczulającego doznał wrażenia. Czuł się zawstydzony i wdzięczy za zaszczyt, że zastępuje brakującego w tej chwili syna.

Przed kościołem Maryi Magdaleny wyniesiono z owocarni krzeselko, dla zmęczonego świeżo odbytą walką pułkownika piechoty. Dopiero co wpadł z pierwszym patrolem do Lwowa. Dysze, pot ociera z czoła. Zatrzymują się przechodzące panie, otaczają go kołem, witają jako zbawcę, niektóre nawet całują. Obojętny zrazu na wszystkie te objawy, zdobywa się w końcu na trochę galanterii. Wyjmuje notes i prosi, by mu swe nazwiska zapisały na pamiątkę.

Właściciel, a zarazem szofer wojskowego automobilu, opowiadał mi w rok później, że pierwszego dnia po południu, gdy wjeżdżał powoli w ludniejsze ulice miasta, jakaś ładna, wytwornie ubrana panienka podbiegła do jego automobilu, wskoczyła na stopień, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w oba policzki, poczem szybko zniknęła w tłumie. „Do dziś nie

umiem sobie tego wytłumaczyć” – mówił. Wtedy ja sobie przypominałam i mogłam go objaśnić, bo na własne uszy słyszałam w jednym towarzystwie, za czasów okupacji, jak panienki przyobiecowały sobie żartem, że „pierwszemu austriackiemu oficerowi, którego spotkam we Lwowie, rzucę się na szyję”. Ta przynajmniej dotrzymała przyrzeczenia.

Upojeni radością Żydzi manifestowali lojalność swą w hałaśliwy sposób. Raził on nas zwłaszcza w chwili, o której wspomnienie zawsze mię o łyzy przyprowadza. Była to chwila wejścia galicyjskich pułków do miasta. Z szeregów publiczności odzywały się bezładne okrzyki radości i powitania! Krzyżowały się wołania: „Mieczek!, Mamo!, Władzio! O Boże, toż to Kazik! Piotruś! Jadziu!” i rzucali się sobie na szyję, ściskali i całowali po dawnym niewidzeniu. Matki, żony, siostry biegły przy koniach, nie mogąc nacieszyć się obecnością swych ukochanych. Bezładne słowa wyrzywały się z ust, szmer, gwar, jakiś taki dziwny, a taki radosny. Wtem jakby zgrzyt, odzywał się okrzyk „hoch” z pełnych piersi żydowskich i w tłok największy wpycha się wózek, nędznym konikiem ciągniony, na nim portret cesarza wśród czarno-żółtych flag, dookoła siedzą Żydzi z pospuszczanymi na zewnątrz nogami, a nierzadko i urocza Żydóweczka, stojąc na dyszku daje sygnał i towarzyszy w tym dźwięcznym okrzyku. Byli też tam dwaj rabini, każdy pod baldachimem. Na malutkim koniku w białych pończochach i zwisających

pantoflach. Ci byliby do wytrzymania, bo przypominali rysunki Andriollego do powieści Orzeszkowej², więc choć trochę naszej tradycji, i gdyby nie natarczywość, z jaką bez ustanku wszędzie się wpychali, a nędznym i drobnym wyglądem przyprawiali o uśmiech w tej poważnej chwili.

Nie wiem jakie były objawy radości Rusinów, pewnie były jakieś ekstra manifestacje, ale te zginęły w ogólnym zamieszaniu. Słuchając jednak różnych uwag wśród przypatrującej się triumfalnemu wkroczeniu publiczności, takie zdanie pochwytiłam, po rusku wygłoszone: *“Naj tam idut, a my i tak tako goroda im ne widdamo, tu nasz knaź but, to jeho zemla”*. Jak dotąd brzmi to jeszcze jak przykre proroctwo!

Pomimo ogólnej radości, kwaterunki szły oporem. Nadliczbowych łóżek i pościeli brakowało wszędzie. Byłam świadkiem, gdy szukającemu kwatery podoficerowi odmówiono dla ciasnoty pomieszczenia. “To tak” krzyczał Niemiec grożąc pięścią. “Umiecie krzyczeć *brawo*, kwiaty rzucać, ale kiedy biedny oficer potrzebuje łóżka i ciepłego kąta, to mu dać nie chcecie”. Nie mogłam wytrzymać i podniesionym, tak jak jego, głosem odkrzyknęłam: “A czyja to wina, że nasze łóżka zabrali Moskale? Było nas lepiej bronić, a nie zostawiać przez cały rok z Moskalami”. Nie

² Zapewne chodzi o *Meira Ezofowicza* Elizy Orzeszkowej.

podejrzewałam siebie nigdy o taką niemiecką swadę i przytomność umysłu. Widocznie to, co tkwiło na dnie duszy, zmusiło mnie do wystąpienia we właściwym charakterze.

Wrażenie, jakie wywarł na nas duch wkraczającej armii austriackiej, określiła najlepiej jedna z gazet wiedeńskich: "Już teraz Polacy nie potrzebują się szczyścić Sobieskim i obroną Wiednia, bo oto odpłaciliśmy się im odbiciem Lwowa". Ale komparacja – to nie zawsze racja.

Jak stado spłoszonych wróbli, rozbiegły się dzieciaki uliczne przed Moskalami. Trzeba im było tygodnia co najmniej, żeby się do cukierków i kopiejek przyswoili. Teraz za to, radość ogólna. Cieszą się matki, ojcowie, więc i oni, pewni dobrego przyjęcia, obskakują Węgrów, Niemców i Prusaków, obiecując sobie niesłychane rozkosze. Proponują wspólną wycieczkę do kino. *"Ich verstehe dich nicht, mein Kind"* brzmi obojętna odpowiedź. "Zostaw, szkoda do nich mówić, nie rozumieją" i rozchodzą się zawiedzeni, mali lwowscy obywatele.

Wracając do domu po obejrzeniu i powitaniu pierwszego austriackiego patrolu, spotykam kroczącą środkiem ulicy gromadę. Na czele maszerują triumfalnie lwowskie wyrostki, każdy z karabinem na ramieniu, i przechwalają się pokazując na kroczących za nimi sałdatów: "to my ich aresztowali". Sałdaci śmieją się, rozszerzając gęby od ucha do ucha, już radzi brać udział w ogólnej uciechu, radzi przede wszystkim, że w bój nie pójdą. Na ulicy Słowackiego podobna gromadka

jeńców uczepliła się austriackiego patrolu, prosząc by ich wziąć w *plen* i do ratusza zaprowadzić. Ale dragonom ani się śniło Moskali odprowadzać, ich teraz właśnie obsypują kwiatami, a eleganckie panie całują ich konie, a czasem i buty (co na własne oczy widziałam). Cóż robić z tymi gamoniami, którzy do ratusza trafić nie umieją? Nawinęła się babinka wesola i rezolutna, i ta ofiarowała swe usługi. “chodźcie chłopcy” mówiła, zabiegając to z jednej, to z drugiej strony. “Nie daliście nam śpiewać, biliście nahajkami, za to teraz do aresztu was zawiodę”. I jak stado gęsi ogarniała ich fartuchem wołając “a żyź!”. Radość ulicy była u szczytu! Na Wysokim Zamku pięciuset kozaków biwakowało, czy też dzieliło się łupem, jeszcze przez pięć dni po wejściu Austriaków. Poddali się pokornie, o ustąpieniu swoich nie wiedzieli nic. Przynajmniej tak mówili. W owym czasie jeńcy prowadzeni pod konwojem przez ulice Lwowa mieli dużo do wycierpienia. Były to chwile, w których instynkt wojowniczy rozbudzał się nawet u tych, którzy prochu powąchać nie mieli ochoty, i do okopów nie śpieszyli zbyt. Swoją rolę zwycięzców chcieli zadokumentować rzucając się na szeregi prowadzonych Moskali. Szarpali na nich ubrania, przezywali, bili laskami, pluli im w twarz. Na szczęście władze powiadomione o tym wydały surowe rozkazy strzelania po dwukrotnej przestrodze. Węgrzy, którzy zwykle jeńców konwojowali, zastosowali się ściśle do rozkazu, a gdy jeden z tych

walecznych nakrył się dosłownie nogami, nadużycia ustały, ograniczając się do słownych apostrof z daleka.

Zaraz na drugi dzień po wkroczeniu wojsk, zajrzała do nas policja, zapytując czy nie ukrywamy przypadkiem pana C. Z., oficera rosyjskiego, który miał rozkaz miasto podpalić. Więc zamiast podziękować mu, że miasto oszczędzał, szukają go, jak czarnego charakteru! Wiedzieliśmy, że pan Z. Wyjechał z wojskiem, bo kryć się byłoby niezgodne z jego charakterem i zasadami. Niemniej jednak – zaniepokoiła nas ta wiadomość, bo utrzymywano, że został przychwycony. W takim razie byłby szukał schronienia i przytułku wszędzie indziej, a nie byłby narażał swoich dobrych znajomych i przyjaciół. Drugi nasz znajomy, Podolak, szlachcic o niemiecko brzmiącym nazwisku von Fahrenheitz, służył w wojsku rosyjskim jako prosty żołnierz. Ten korzystając z ogólnego zamieszania, przesiadywał często we Lwowie. Tu go zaskoczyły wypadki i już nie mógł pułku swego dogonić, a raczej nie było to i bezpieczne, bo mógł go spotkać los dezertera. Zrezygnowany pozostał. Krewni jego dostarczyli mu przebrania cywilnego i błagali, żeby się nigdzie nie pokazywał. Nie mógł wytrzymać w zamknięciu, poszedł przejść się na wały i a tam zaraz go policja przychwyciła i w bardzo niemiłej kaźni zamknęła. Na szczęście kuzyn jego, pan Krzysztofowicz, dowiedział się o tej przygodzie, odszukał po wielu trudach nieszczęśliwca i kosztem usilnych zabiegów i starań, zdołał umieścić go jako

ochotnika w legionach. Tam dosługuje się wyższej szarży, a pewnie szczerzej służy.

Ulica po pierwszym rozczuleniu i radości zrobiła się też mniej przyjemna. Zaraz wieczorem 23 czerwca wybiła wszystkie szyby w redakcji „Słowa Polskiego”. Niewinne szyby cierpiały za głównego redaktora, który „ujechał” razem ze swymi przyjaciółmi. Powiadają, że ten pan W. Był Rusinem z rodu, a pozował na narodowego demokratę i wszechpolaka, bo to także była woda do mącenia, w której rybki się trafiały. Wtedy to ułożono parafrazę do polskiego przysłowia: „co ma wisieć, wyjechało”. Odnosi się ono do tych wszystkich, którzy jakoby nie mieli czystego sumienia politycznego. Trzeba jednak być sprawiedliwym. Najniewinniejsze powody zmusiły niejednego do wyjazdu. Byli we Lwowie technicy, architekci, inżynierowie, którzy nie będąc na etacie państwowym, żadną przysięgą nie związani, woleli zamiast czekać na śmierć głodową, podjąć pracę choćby z ręki Moskali. A zapominać przy tym nie należy, że o odebraniu wschodniej Galicji Moskalom nie tylko w kraju wątpiono, ale i Niemcy we Wiedniu, od razu krzyżyk na Lwów położyli. Jakże ci ludzie mieli postąpić? Są to dylemata, które stają się wraz z przeciąganiem wojny, coraz zawilsze i trudniejsze do rozwiązania. Dość, że „ujechało” do Rosji wielu porządnych ludzi, a następstwa okazały, że postąpili roztropnie. Przez pierwszy tydzień po wejściu Austriaków, było tysiące

aresztowań a przez następne sześć miesięcy, lada głupstwo, nieostrożnie rzucone w kawiarni słowo, wystarczało by dostać się pod klucz lub być wywiezionym do Wiednia. Byli pomiędzy takimi nieostrożnymi nieraz ludzie starsi, schorowani, którzy wskutek nieuwagi utracili całe mienie, nie mieli środków, by poprawić sobie wikt więzienny, lub podpłacić stróżów, by mieć większe w więzieniu wygody. Były to nieraz całe dramaty. Władze nie znały dość dobrze naszych stosunków, nie zasięgały wiarygodnych relacji, toteż nieraz taka krzywda spotykała ludzi skądinąd najgodniejszych i na szacunek ogólny zasługujących. I tu ulica brzydką rolę odegrała. Donosów, oskarżeń było mnóstwo. Czynnikiem skłaniającymi do tych brzydkich postępów była często jakaś osobista uraza, albo chęć zemsty. U ludzi prostych, zwłaszcza głupia złośliwość, która uchodziła bezkarnie. Na szczęście spostrzeżono to i już później aresztowano także donosicieli, a jeżeli zarzuty okazywały się bezpodstawne, bywał karany za fałszywe relacje. Wtedy plaga ta stała się mniej dotkliwą. Jednakże jeszcze w zimie aresztowanie było rzeczą tak zwykłą, że mieć jakąś sprawę z policją należało do dobrego tonu. Do wyjątków należeli ludzie, którzy tych przykrości nie doznali.

Młodziutką pannę Małachowską wskazała Żydówka, straganiarka, jako narzeczoną oficera rosyjskiego. Biedactwo zatrzymano na ulicy i pod eskortą żandarmów prowadzono

na odwach. Na szczęście spotkali ten pochód jej znajomi, postarali się, by jak najprędzej dotrzeć do władz i po dwóch godzinach panienkę uwolniono.

My też mieliśmy dochodzenie kilkugodzinne z powodu złodziejstw tego pamiętnego, wojennego komisarza. Na szczęście zacy przyjaciel i sąsiad nasz – hr. Dzieduszycki³ – dowiedziawszy się o tym, pojechał natychmiast upomnieć się o nas do J. E. B.E. przedstawiając, że przeszkadzać nadużyciom nie było w naszej mocy, a to, że mu w tych pięknych czynach dopomagaliśmy, już trudno nas posądzać.

Jak dziwnie mieli Węgrzy i Niemcy o naszych stosunkach wyobrażenie, miałam wkrótce żywy dowód. Córka moja, której dzieje później opiszę, miała wiele do zawdzięczenia 47 Dywizji. Bawiąc u nas we Lwowie zaprosiła do siebie, to jest do nas, jednego z tych panów, Węgra, na herbatę. Nie był to człowiek najlepszych form towarzyskich, ale wojna tak uprościła nasze stosunki, że o ile ktoś z tych panów okazywał nam życzliwość i starał się być użytecznym, to nie odmawiało się nigdy uprzejmego przyjęcia i filiżanki herbaty. Porozmawialiśmy po niemiecku, o przedmiotach aktualnych. Zadziwił nas opowieścią, że 23 czerwca na jednym z przedmieść lwowskich miał ktoś strzelić do

³ **Tadeusz Dzieduszycki** – dr praw, mąż jednej z córek Włodzimierza Dzieduszyckiego (1825-1899) i hrabianki Alfonsyny Miączyńskiej – Anny.

automobilu generała B. E. Miał to być atentat na jego osobę. Fakt dotychczas nie stwierdzony.

- Czy go przytrzymano? – zapytałam.

- Tak jest.

- Któż to był? Czy moskalofil?

- *Ja, ein hiesiger*⁴.

To określenie wydało mi się niejasnym i zapytałam jeszcze, czy to był *„ein Ruthen”*? Na to odpowiedział Węgier z miną dobrze poinformowaną: *„Die Ruthenen sind doch nicht Moskalofilen, Verräter sind die hiesigen, die Polen”*. Zaczęłam tłumaczyć jak tylko mogłam, ale widząc, że nie przekonam, dałam za wygraną. Zdaje się, że ten pan przesiadywał wiele w Milatynie, gdzie oprócz cudownego obrazu⁵ w kościele, była też założona pierwsza ukraińska szkoła rolnicza. Otóż zdaje się, że córka dyrektora, panna Maczużanka, o której piękności i uroku wiele od tego pana słyszałam, postarała się, żeby nie tylko w sercu Węgra zrobić spustoszenie, ale i w głowie jego. Urządziła prawdziwy węgierski gulasz pojęć, bo do ostatka powtarzał, że tylko Rusini są lojalni, a Polacy przeważnie moskalofilstwem się trudnią. Nie było na to rady.

Nie pamiętam już w jakiej sprawie odwiedził mnie książe W., także Węgier, ale bardzo elegancki i sympatyczny.

⁴ *Hiesiger* (niem.) – tutejszy, miejscowy.

⁵ Chodzi o obraz: „Pan Jezus z Milatyna”. Wizerunek konającego Chrystusa znajdujący się w opactwie karmelickim w Milatynie Nowym od poł. XVIII w. Najważniejsze miejsce pielgrzymkowe w Galicji Wschodniej.

Rozmawialiśmy długo, aż gdy zeszło na rabunki chłopskie i w ogóle, bezczelne rozboje moskiewskie, odezwał się: *“Was wollen sie, es liegt schon im slawischen blut”*. Trochę mu to *lapus lingue* zapamiętałam, ale wolałam nie sprzeczać się, był mi wtedy bardzo potrzebny w jakiejś sprawie, zresztą po co się własnowolnie do jednego szczepu ze zbójami przyznawać. Opowiadał mi też, że u niego na Węgrzech u podnóża Karpat, stary, pamiątkowy zamek też został doszczętnie przez chłopów zrabowany. Gdy Moskale z wioski się cofnęli, a Austriacy weszli, stary i przywiązany do rodziny sługa, zaczął ich prosić, żeby rzeczy jego państwa od chłopów poodbierać. Jako świadek rozboju, sam wskazywał winowajców, i zostali ostro ukarani, nie wiem czy kogo powiesili, ale wiem, że bito i grzywnami chłopów pokarano. Jednakże zmienne są losy wojny. Wkrótce znów wioska i zamek wpadły w ręce rosyjskie. Wtedy chłopci się zemścili i wierny sługa zawisł na szubienicy. Utwierdziło nas to opowiadanie w postanowieniu pierwotnym, żeby żadnych dochodzeń, procesów z chłopami nie rozpoczynać. Drogo opłacona nauka, co można liczyć na takich sąsiadów z za opłotków, oto jedyna korzyść. Zresztą, to co było rzeczywiście wartościowe, zabrali Moskale. Pamiątkowe rzeczy i tak powoli wracają, a te tam różne fatałaszkę niech służą, nie miałabym na nie najmniejszej ochoty.

Tymczasem do Lwowa zaczęły ściągać furgony z rannymi. Szpitale wypełniły się w jednej chwili, ale ranni byli strasznie głodni, bo treny szły za wojskiem powoli, a miasto wprawdzie było zaaprowidowane, ale nie ponad własną potrzebę. Co gorzej nie było ani łóżek, Anie sienników, Anie poduszek dla rannych, bo to wszystko wywieźli Moskale. A może i lepiej się stało, że pościelenie i łóżka zabrali, bo epidemia ospy i cholery już od maja rozwijała się w mieście.

Wtedy cudu dokazały sutereny i mieszkania małych rzemieślników. Ludzie, którzy w razie potrzeby umieli się bez pościeli obejść, niemniej jednak uważali ją za cały skarb swój, za majątek niemal, znosili tysiące kołder, materacy, poduszek. Z szacunkiem trzeba było patrzeć, jak nieraz kobiecina nędznie ubrana, dźwigała do szpitala ostatnią swą poduszkę, ażeby żołnierzowi głowa od ziemi nie cierpła. Przez trzy pierwsze dni panowało w szpitalach prawdziwe *interregnum*, wchodził tam każdy, a cokolwiek przynosił, było zawsze pożądanym. Biegły więc niewiasty z garnkami i wyprzedzały się nawzajem, kto co smaczniejszego rannym przyniesie. Więc: mleko, kawa, barszcz, rosół, kto co mógł naprędce uwarzyć. Ranni Moskale zaczęli się skarżyć, że ich na otwartym podwórzu, wprost na trawie kładziono. Bo wasi – odpowiadano – zabrali i wywieźli wszystko ze szpitali, teraz wy za to cierpicie. Ostatecznie nie działało im się tak źle, bo

ziemia w czerwcu ciepła, a jeść to już im z pewnością baby dawały. Z okazji tego jadła miałam też przygodę, która mię porządnego strachu nabawiła. Przechodząc koło czwartego gimnazjum, które całe założone było rannymi, widzę z daleka gromadę ludzi stojącą po tej stronie żelaznych sztachet, a z podwórza Kroat, żołnierz opowiada im łamaną polszczyzną, że jakaś wiejska baba przyniosła mleko do szpitala, i dała pić dwom żołnierzom, że baba musiała być moskalofilka, i dała im mleko zatrute, bo w kwadrans później obydwa w strasznych bólach pomarli. Publiczność aż huczała z oburzenia, wygrażali pięściami, chcieli babę rozstrzelać, na kawałki rozdzierać, nie było dość srogiej dla niej kary. Wrzało w tej gromadce jak w ulu. Po co ja się wtedy odezwałam, nie wiem, zdaje mi się jednak, że żal mi się zrobiło żołnierzy, że z głodu będą ginąć jak im baby jeść nosić przestaną, a baby przestraszą się tego krzyku i przestaną z pewnością, więc odezwałam się dość głośno: „Jak można nawet przypuszczać, żeby nie wiedzieć jaka moskalofilka, gdzieżby żołnierza, i to rannego truła. Prędzej na cholerę poginęli ci dwaj, przecież panuje”. Wtedy jakiś „asan” w szarym kubraku wystąpił i zagadnął mię wojowniczo: „to pani jemu nie wierzy? A ja pani nie wierzę, bo pani pewnie taka sama jest...”. Kilka zaognionych twarzy zwróciło się do mnie, a ja „dałam wdioru” jak się do niedawna nasze polskie “w nogi” określał. Na szczęście nikt nie gonił.

Zgrzytnęły zardzewiały zamki i zasuwę szynków, otwierając swe gościnne podwoje. Uroczystość tę święcili nie tylko przybyli wojskowi, ale i miejscowi, długą abstynencją znużeni. Niektórzy tak skrupulatnie dokumentowali z tego powodu zadowolenie, że wieczorem szerokość trotuaru odmierzać musieli. Wobec tego wracaliśmy do domu wcześniej, i pocieszaliśmy się tą pewnością, że teraz wino do stołu kupować będziemy jawnie, i nie trzeba będzie chować flaszek w rękawie płaszcza lub w zarękawku, a drzeć z obawy by nas gorodowy nie spostrzegł i drogocennej zdobyczy nie skonfiskował.

Zgrzyty i niepokoje

Coraz wyraźniej zaczęliśmy odczuwać, że akcja odbicia Lwowa była tylko małym epizodem w tej strasznej wojnie! W miarę, jak wojska postępowały dalej na wschód, bitwy były coraz zażartsze i z rozmaitym wynikiem. Wzruszający był los jakiegoś wiedeńskiego pułku piechoty, który jeden z pierwszych wszedł do Lwowa. Wśród kwiatów i z nimbem zwycięzców, przedstawiali się ci ludzie bardzo sympatycznie. Zdaje się, że oszołomieni tym przyjęciem, zbyt się czuli bezpieczni i nie dość ostrożni w wyborze miejsca na

nocleg. Niedaleko Jaryczowa⁶ rozbili swój obóz, i tam wśród nocy dwa karabiny maszynowe, skryte w pobliżu przez najserdeczniejszych, srodze śpiący pułk zdziesiątkowały. Pułk poszedł w rozsypkę, czterech przywlokło się do Lwowa, z tych jeden upadł na progu łyżakowskiej mleczarni i tam go znaleziono o czwartej z rana bez duszy!

Nieprzyjaźń ludności i częste zdrady, spotykały wojska austriackie stale, po minięciu Lwowa. Zaczęły się więc znowu masowe egzekucje i wieszania, często niewinnych. Mówiono nam, że w Żółtańcach, ile wierzb przy drodze, tyle na nich wisiało owoców judaszowych. Mogła to być i bajka, bo nikt wiarygodny tego ni kontrolował. Słyszałam tylko, jako prawdziwe, że w jednej miejscowości powieszono siedemdziesięcioletnią staruszkę, matkę księdza ruskiego, a w drugim czteroletnią dziewczynkę. O telefonie w stercie siana, w piecu piekarskim, w maślnicy, nasłuchiwałam się opowiadań bez liku, jednak przeważnie odgrywały tam rolę baby. Poczucie solidarności z tą płcią, każe mi oddać, że dużo było w tych opowiadaniach przesady, i że postęпки te były wynikiem nie ich politycznych, czy patriotycznych przekonań, ale raczej uczucia erotycznego, dla tych świetnych donżuanów.

⁶ Jaryczów – wieś położona na północny-wschód od Lwowa, oddalona o ok. 25 km.

Wojska austriackie postępowaly powoli, zdobywały piędź po piędzi, aż stanęły nad Bugiem i tam, przez sześć tygodni zabawiały się. czy tam były silne rosyjskie fortyfikacje, czy też pruskiej komendzie szło o wyrównanie frontu w Królestwie, bo tam szło z początku opornie, to zbada i wykaże historia. Dla nas tymczasem były to straszne chwile wyczekiwania. Że w miarę ustępowania, Moskale palili dwory i folwarki, mogliśmy skonstatować naocznie. Co dzień chodziliśmy na Wysoki Zamek i stamtąd widzieliśmy coraz nowe pożary i dymy, unoszące się coraz to z nowych miejscowości. Trudno opisać, co się działo w sercach naszych, jaki niepokój o najbliższych, którzy tam pozostali, o dom własny i gospodarstwo.

W majątku naszym koło Kulikowa⁷ pozostał brat mego męża i tamtejszy rządcą. Ci słysząc huk armat coraz bliższy, spodziewali się, że lada chwila wpadną ustępujące wojska rosyjskie. Gdy tak raz siedzą przy obiedzie, niepewni, co ich czeka, wpada Baśka, wierna i przywiązana służąca, mówiąc, że jest oddział rosyjski i pytają za obydwoma panami, bo chcą ich zabrać z sobą. Jak stali, dali drapaką do ogrodu! Bratu, jako człowiekowi starszemu, mniejsze groziło niebezpieczeństwo, gdyż zabierali głównie poborowych. Pan Wiciński jednak nie czuł się bezpiecznym i schronił się na cmentarz. Tam

⁷ Kulików – wieś położona na północny-zachód od Lwowa, oddalona o ok. 7 km.

posiedział kilka godzin, nasłuchując i gdy się zbliżali, krył się raz z jednej, to znów z drugiej strony ogrodzenia cmentarnego. Po takim męczącym kilkugodzinnym przemykaniu się, wygłodzeni, wrócili wieczorem do domu, gdy już Prusacy na podwórzu ognie rozkładali.

Moskale zabrali nam wszystkie krowy, świnie i większą część koni, cały inwentarz, już po pierwszym ich przejściu zakupiony. Na szczęście śpieszyli się i nie mieli czasu nas spalić. Jednak, pomimo że tyle słyszeliśmy o uczciwości pułków pruskich, o tym, że za wszystko płacą i nic nie rabują, doświadczyliśmy rzeczy przeciwnej, gdyż tej właśnie nocy zabrali nam najlepszą parę koni, którą potrafiiono przed Moskalami ukryć, a w drugi dzień wyrwali wszystkie jarzyny w ogrodzie do swego obiadu. W tym zamieszaniu nie mógł rządca zapamiętać ich pułków, więc wszelki regres był niemożliwym.

Do niepokoju o córkę i zięcia, o dom, i o wszystkich znajomych, którzy pozostając na wsi, zrezygnowani, losu swego czekali, przyłączyło się pożegnanie z synem, który do pułku odjechał, a po trzech tygodniach ochotniczej tam służby, został odesłany do szkoły wojskowej w Holitsch⁸. Byliśmy na to przygotowani, bo choć jako jeszcze do wojska nie przyjęty, nie potrzebował stawać przed władzami

⁸ Holitsch (Holic) – miasteczko na Morawach, oddalone kilka km od Skalicy (Skalitz). Obecnie Słowacja.

okupacyjnymi, to jednak certyfikat przyjęcia do pułku nosił stale przy sobie, i tak go jakoś ukrył w lasce, że mógł jeździć ciągle i bez obawy między Moskałami się obracał, nie rozstając się z cennym dokumentem. Żywiłam trochę nadziei, że jako młody i roztrzepany, tę laskę gdziekolwiek zgubi, ale zawiodła. Piastował ją zbyt pilnie. Za pośrednictwem młodego Bobrowskiego dostał przepustkę na całą Galicję i jeździł odwiedzać krewnych mieszkających w najwięcej zagrożonych powiatach, w tej nadziei, że Austriacy odbiją wioską i razem z nią i jego zajmą. Wtedy będzie mógł zadowolić poczucie honoru i pójdzie służyć w armii austriackiej. Gdy tak znikał na dwa lub trzy tygodnie, a ojciec myślał, że na wsi gospodaruje, przechodziłam straszne chwile niepokoju, którego z nikim dzielić nie chciałam, bo i po co przyczyniać drugim zmartwienia. Ostatnią taką wycieczką, już wiosną, odbył w stanisławowskie, i tam o mały włos, bo o dwa dni, a byłby celu swego dopiął. Nie chciał jednak nadużywać serdecznej gościnności i pożegnał gospodarzy, którzy w dwa dni później już austriackie wojska gościli...

Z naszych stron coraz smutniejsze wieści. Przyjechała pani Niedźwiedzka, zarządczyni domu moich braterstwa w Z. Ścisnęło się serce z bólu i obawy, gdy opowiadała, jak się odbywało to palenie wszystkiego. Armia rosyjska ustąpiła, zabierając ruskich obywateli, bydło, konie. Po nich przyszedł

oddział podpalaczy. Kilku starszych oficerów i młodzi, może siedemnastoletni żołdaci. Każdy miał na ramieniu przepaskę z odznaką koła, otoczonego czerwonymi płomykami. Zaczęła błagać i prosić, żeby nie palili. Odpowiedzieli, że muszą, bo taki rozkaz otrzymali od Wielkiego Księcia Mikołaja. Pierwszego dnia uporali się z folwarkiem, spalili gumna, stajnie, gorzelnię z młynem, i zaczęli przygotowywać się do palenia domu. Wtedy prosiła, żeby jej pozwolili zwołać ludzi i powynosić choć trochę mebli i kosztowniejszych rzeczy. Za nic. Zamknęli ją w pokoiku w oficynach, tak przebyła noc. Wprawdzie chcieli później wieczorem otworzyć, ale zamknęła żelazną zasuwę i powiedziała, że woli spać zamknięta. Rano jedna z dziewczek służebnych otworzyła jej i namawiała, by z nią poszła na wieś, bo tu już nic nie pomoże. Ale Niedźwiedzka chciała jeszcze o zmiłowanie prosić. Na wpółprzytomna, widząc, że już się kręcą żołdaci, chwyciła pierwszy lepszy drobiazg z salonu i zanosiła do oranżerii. Oranżerią nazywano stary budynek na końcu ogrodu, gdzie był skład dachówek cementowych. Tam kryła różne rzeczy w pozostałym kanale palowiska, chcąc cokolwiek bądź uratować. Ale już ją za czwartym razem nie puścili. Przed domem stała sikawka i beczki z benzyną. Każdy pokój otrzymywał prysznic benzynowy, a potem do kilku naraz wrzucono garść palącej się słomy. Pożar buchnął w jednej chwili i spłonął mój stary, rodzinny dom od razu i doszczętnie.

Urządzony był z niemałym nakładem finansowym, z elektrycznym oświetleniem i wodociągami. Pełny był cennych obrazów, rycin, książek, a na umeblowanie złożyły się trzy zamożne pokolenia. I to wszystko stało się pastwą płomieni. A ile jeszcze spłonie takich domów w Galicji?

Epidemie stawały się coraz groźniejsze, po zaszczepieniu ospy, trzeba było szczepić cholere. Szczepienie to trzeba było powtarzać trzy razy i dość było bolesne, bo obrzęk wielkości śliwki występował w zakutym miejscu i bolał przez trzy następne dni. Wprawdzie bywały wypadki, że ktoś właśnie po zaszczepieniu na cholere zapadał, ale to nas nie powstrzymało, bo w wojsku przynosiło szczepienie nadzwyczajne rezultaty. W ogóle z diety przy panującej cholere nie było tak surowych przepisów, jakie pamiętam z moich dziecinnych lat. Nie zakazywano ogórków, ani owoców, strzec się tylko kazali wszelkich surowych artykułów, których pochodzenia nie byliśmy pewni. W Żółkwi umarł na cholere starosta, a w okolicy Lwowa jakiś generał austriacki. Opowiadano, że zachorował dlatego, bo używał surowej śmietanki do herbaty. Wojskowi domagali się po sklepach soków, kompotów owocowych. Niektóre panie smażyły same i po bajecznych cenach sprzedawały. Dowiedziawszy się, że w O. malin i porzeczek mnóstwo niebywałe, postanowiłam tam pojechać. Chciałam zrobić zapasy do domu i tęskno było za

jakąś pożyteczną pracą. Smutna to była jazda! Wozem, bo innego wehikułu nie było, a drogi i gościńce były strasznie porozbijane. Na polach pustka i zniszczenie, o jakim w mieście nie miało się pojęcia. Pola nie orane, pełne chwastów i pokrzyw. Wszędzie jakieś doły, wyrwy, okopy, zagrodzenia. Często też mogiły, przewracane kłody drzew, albo stojące bezlistne wierzby, które wyciągały ku drodze nagie swe konary, jakby chciały rozczapierzonymi gałęziami bronić się i zasłaniać od widoku strasznych scen wojennych, których były niezawodnie świadkami. Tej pustki, tego wśród ciszy zapamiętałego krakania wron, póki życia nie zapomnę. Cholera na wsi była złośliwszą, niż we Lwowie. Krople Innoziemcowa⁹, różne inne ziółka i dekokty, prędko znalazły zastosowanie, choć ratowaliśmy tylko służbę dworską, chłopci wyjechali z Moskalami. Miałyśmy też z sobą amoniak od ukąszeń much, których były roje całe. Przestrzegano nas, że często na trupach siadając, mogły przenosić jadowite i zaraźliwe miazmata. Dom, choć nie spalony, odrażający i prawie wstrętny był swym zniszczeniem. W ogromnej jadalni rumowisko połamanych mebli, po pokojach kilka łóżek z siennikami krwią poplamionymi, na posadzce wielkie czarne płaty, nie dające się zmyć, zdaje się dziegciu, czy atramentu. W

⁹ Krople Innoziemcowa – preparat przeciwbólowy i przeciwzapalny stosowany przy bólu żołądka i jelit wg. receptury rosyjskiego lekarza – Fiodora Innoziemcewa.

ogrodzie pełno wojennych rupieci, blaszanych puszek i konserw, i tym podobnych. Na ganku chwasty, pokrzywy, wyrastające ze słupów i kamieni.

Ciężko było siedzieć na tym odludziu, ani poczty, ani telegramów, co najwyżej wiadomość o śmierci czyjejs, bo cholera zabierała ludzi w dwie lub trzy godziny po zasłabnięciu.

Po trzech tygodniach wracamy do Lwowa. Gna mię tam niepokój o córkę i o to, co z domem naszym zrobili. Powrót nie weselszy. Tylko więcej urozmaicony. Spotkałyśmy furgon wiozący ciało jakiegoś wyższego oficera. Mimo metalowej trumny odór zabijający. Potem dwa pogrzeby, zdaje się jeńców rosyjskich, bo jeńcy odprowadzali na cmentarz wóz wapnem spryskany, a trup zwapnioną szmatą okryty.

Potem widziałyśmy człowieka leżącego, zdaje się w kurczach przy drodze, gromada ludzi otaczała go bezradnie dookoła. Straszne to były czasy i śmierć wydawała się jakąś groźniejsza! Księży nie było, jedni wyjechali z Moskalami, innych jeszcze przedtem internowali Austriacy, a ci, którzy pozostali, ruszyć się nie mogli, z wioski do wioski trzeba było przepustek. O doktorze ani mowy. Ludzie ginęli jak zwierzęta na polu, w lesie, lub we własnej chałupie. Zdarzało się nierzadko, że dwunastoletnie dziecko wiozło na taczkach

trupa ojca lub matki, by go własnoręcznie na cmentarzu pochować. Nie było komu podjąć się tej posługi.

Z obawą w sercu wracałam do miasta. Czego tam się dowiem?

Biją się nad Bugiem i stoją na miejscu.

Gdy tam w ciasnym i dusznym lwowskim pomieszkaniu siedzimy i rozmyślamy nad tym, co się tam nad Bugiem dzieje, usłyszeliśmy turkot automobilu na dole. Dzwonek! Za chwilę wpada generał R. "Wszystko dobrze, ciociu, są obie zdrowe i całe, tylko Adama Moskale wywieźli". Odetchnęliśmy. "Co? Jak? Kiedy?"

Ale przytoczyć wolę własnoręczny opis mojej córki¹⁰:

Z dni grozy

Już przed trzema tygodniami doszła nas wieść głucha, i co dzień potwierdzała się, że Lwów odzyskany. Cieszyliśmy się waszym szczęściem, ani przeczuwając, że natomiast dla nas zaczną się dni ciężkie, tak męczące, że w końcu zrozpaczeni pytaliśmy się nawzajem jedni drugich, czy my to wszystko przetrwamy. Nasi rzekomi wybawcy nie zasypali

¹⁰ Jak zaznaczono we wprowadzeniu autorstwo tekstu jest wspólne. Rękopis pisany przez Magdalenę Bylczyńską (na kartach pamiętnika obecną jako „córka”) i jej macochę (Rozalię Webersfeld). Narracje obu autorek przenikają się.

nas od razu lawiną ciosów. Nie, oni odbijali nas powoli, z rozmysłem. Wszak mieli czas po temu.

Zaczęło się od małych oddziałków kozackich, które najeżdżały nas parokrotnie co dzień. Kozak doński to niszczyciel z krwi i kości. Nie wiadomo, czy wyższe rozporządzenie, czy osobisty instynkt chęci niszczenia, kierowały go w szale nienawiści do tego dworu wiejskiego, do ich właścicieli. W pierwszych dniach niepożądani goście zachowują pewne umiarkowanie, łążą, wszędzie zaglądają, wypyтую służbę. Oni lubią tak *pasmatriet*. Jeden oburza się, że nie widzi w salonie portretu cara *gaspadara*, drugi zabawia nas anegdotką, wielce, wedle niego, śmieszną, w każdym razie dla nas charakterystyczną. Otóż, że stąd o mil trzy w N. była właścicielka, która dała im 300 rubli, ażeby jej folwark nie spalili. Wzięli, obiecali, odjechali. Na drugi dzień jednak wrócili i podpalili, ale tylko dwór mieszkalny, folwark to się już sam zapalił. Mija dni kilka, goście bywają coraz natrętniejsi. Zabierają bydło, konie, niby w drodze rekwizycji, właściwie rabują. Śliczne nasze konie, owoc długoletnich trudów właściciela, ukryliśmy w poszczególnych zagrodach w lesie. Od czegoż jednak uprzejmość dla Moskali naszych najbliższych sąsiadów. Chłop z pobliskiej wioski miał każdą naszą krówkę dobrze w pamięci zapisaną. Poprowadził kozaków do lasu, no i przepadło. Pobiegliśmy na miejsce, wobec nieuniknionej grabieży, upominamy się, by nam za

zabrane krowy kwit bumagą wystawili. *“Eto moja bumaga”* brzmi junacka odpowiedź i lufa rewolweru mignęła nam przed oczyma. Z końmi dzieje się to samo. Pozostało nam jeszcze krów kilkanaście, porozmieszczanych na wsi u zaufanych ludzi. Łudzimy się słabą nadzieją, że choć te uda się ocalić.

Straszne łuny dookoła. To płoną dwory okoliczne. Czyż i na nas kolej przyjdzie? Ukrywam rzeczy jak mogę. Pozostała służba pomaga mi, wywozimy meble z domu. Chcemy je dać gdzieś w bezpieczne miejsce. Daremny trud. Teraz sztab zjeżdża. Sztab brygady, gwoli własnej wygody, każe wszystkie meble na powrót do domu poznosić.

Nowa emocja. Kozacy uwijają się po wsi. Zabierają mężczyzn od osiemnastu lat do pięćdziesięciu. Już to wiele znieść można. Można przecierpieć straty, byle być razem, byle mi męża nie zabierali. Niech go zostawia! Ukrywa się we wsi przez parę dni. Jednak ostrzegają nas, że chłopci dostrzegli go, że wielu z pomiędzy nich pójdzie wydać “pana”, że wskażą miejsce pobytu. A wtedy? Jeszcze gorzej. Może lepiej pójść, pokazać się generałowi, poprosić, by mu pozwolił zostać. Generał uprzejmy bardzo, okazuje nam wiele życzliwości. Jemu osobiście nic przecież na tym nie zależy. On by sam za nic w świecie nikogo do Rosji przemocą nie wysyłał. No! Przynajmniej spadł nam z serca ten kamień. Tymczasowo

zjeżdża przydzielony do rekwizycji pułkownik, kolejno odchodzi reszta naszego bydła po formie – za bumagą.

Cudowny poranek niedzielny. Dziś sztab podobno wyjeżdża. Dają mi znać, że kozacy zapychają słomą wszystkie budynki gospodarskie, chwila jeszcze, a wszystko stanie w ogniu. Biegnę z protestem do generała, do tych, tak uprzedzająco miłych, oficerów sztabu. Oni! - “Taki jest rozkaz! Oni na to nic poradzić nie mogą!”. Sam car nic by tu nie poradził.”O dom niech pani będzie spokojną, być może, że ze względu na bitwę trzeba będzie zburzyć tę tam, w ogród wystającą część terasy, ale z resztą nic się tu nie stanie. Meble zabierać, to zbyteczne. Ot my drutów telefonicznych z domu nie ściągamy”. Cisza! Wpada oficer z rozkazu generała. Mąż mój ma wyjeżdżać do Rosji i to natychmiast! “jak to? A obietnica? A wyraźne pozwolenie zostania?”. “Jest rozkaz!”. Pozostaję samą! Wokół płoną gumna, oficyny i wszystkie zabudowania folwarczne. Dym zasnuł horyzont, dookoła trzask walących się murów. Z oddali huk armat i łopot strzałów, istny dzień sądu. Kozacy uwijają się, jakby w swoim żywiole. Tu leją naftę do piwnicy, by łatwiej zapalić, tam znów chwytają, co im w rękę wpadnie: narzędzia gospodarskie, porzucony pług, bronę, wszystko rzucają w ogień, by nic nie ocalało z pogromu. Z córeczką moją zbieramy niezbędne nam rzeczy i idziemy z tymi węzełkami na ruskie probostwo. Tam choć dziecko zostawię w bezpiecznym miejscu. Dwa

automobile minęły nas z boku. Liczne ukłony, czułe gesty pożegnania. To uprzejmy generał i świetnie wychowani oficerowie jego sztabu. Wracam do domu, może jeszcze uda się co uratować. Nie puszczają. Sałdat krzyknął: "*nie lizia*", a na takie *dictum* nie ma apelacji. Koło domu kręcą się ludzie. Zajeżdżają furmanki. Czy to moja fantazja, wydaje mi się jednak, że ładują coś na fury! Tak! Jakby fortepian, fotele, kanapy. Resztki mienia biednego galicyjskiego obszarnika. Stoję jak wryta na tym samym miejscu. Wtem huk straszny zatrzęsął powietrzem. To dom, to nasz dom pocziwy. Widzę, chwieje się wieża. Podminowali go! Wyleci w powietrze! Długo opierał się, co raz to nowe materie wybuchowe pod niego podkładali. Kilka jeszcze silniejszych detonacji i został stos gruzów, który kozacy skwapliwie podpalili, by właściciel pod gruzami pamiątki jakiejś nie znalazł zapewne. Ot i w gruzach leży dach, pod którym tyle szczęśliwych chwil spędziłam, tam wszystko, co się lubiło, co z życiem wiąże wspomnieniami. Stoję i patrzę. Zdaje mi się, że to mojem życiem szarpie bezlitośnie okrutna ręka.

Nie płacę.

Są takie bóle, przy których łzy wydają się ironią.

Zaledwie rozgospodarowaliśmy się na probostwie, zajeżdża oficer sanitarny. Powiada, że od sztabu ma specjalne dla mnie zlecenie. Brzmi to tak: "panowie ze sztabu, wdzięczni

za gościnność, jakiej u państwa doznawali, a wzruszeni smutnym położeniem, w jakim się pani znajduje, poczuwają się do obowiązku służyć pani radą. A to, byś z córeczką jak najprędzej wyjechała do Rosji. Tam są komitety dobroczynne, prawdopodobnie udzielą wam zapomogi na życie”. Trzęsę się z oburzenia, ale odpowiadam spokojnie: “wolałabym zamiast rady, choć jedną ze zrabowanych krów, miałabym przynajmniej mleko dla dziecka”.

Strzały coraz bliższe. Opodal – pewnie niedaleko – już bitwa. Do małej kwadratowej piwniczki na probostwie tłoczmy się w osób dziesięć. W górze mały otwór, duszno i ciasno. Słyszymy na przemian – ciągły świst szrapneli, huk pękających granatów, potem karabiny maszynowe i miarowe odgłosy salw karabinowych. Piekło. Panie Boże daj przetrwać, aby choć to dziecko ocalić. Odważna dziewczynka uspokaja drżącą ze strachu rówieśniczkę. Mnie często zapewnia, że nic a nic nie boi. Biedne dziecko, nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa! Opodal granat rozwalił cerkiew. Gotujemy się na śmierć. Jeden pocisk takiego większego działa, a z nas tu wszystkich pozostałaby tylko miazga. Nadchodzi noc. Mijają godziny, strasznie długie godziny. Bitwa trwa dalej. Kręci mi się w głowie ze zmęczenia. Wychodzę na świat. Tak miło odświeżyć się. Wprawdzie kule gęsto lecą, ale co ta, albo i w naszej dziurze o wiele

bezpieczniej? Huk nie ustaje, na świecie dzień zaczyna. Jesteśmy tak zmęczeni, że zasypiamy, jak kto stoi, czy usiadł, lub do muru przyłgnął. Z tej drzemki budzą nas głosy, wołania jakieś. To ludzie przebiegają, wołają do siebie, że już są nasze patrole we wsi, a pod lasem nasze wojsko stoi. Moskali nie ma. Wychodzimy, słuchamy, strzelanina ustała, ale może na chwilę tylko, więc spieszymy, biegnijmy prędko, może lasu dopadniemy.

Cudowny lipcowy wschód słońca. Od wsi płynie fala ludzka. Wiodą za sobą nieliczne, pozostałe bydłatka. Wszyscy śpieszymy ku lasowi. Po drodze widzę, jak żołnierz jakiś chłopcu opatruje rany, wczoraj strzelił do niego kozak trzy razy! Jeszcze mało go uszkodził, bo tylko ucho oderwał i twarz pokaleczył. Biegnijmy coraz prędeż, bo a nuż strzelać zacząną. Jeszcze kroków kilkanaście... "Witajcie" – wołamy – "Już doczekać się było trudno, czy wiecie, cośmy tu przecierpieli? Popatrzcie na zgliszcza, na nasz ból, naszą nędzę, krzywdę i te łzy krwawe".

Smutne dzieje

Gdy córka moja dobiegała lasu, usłyszała z daleka po niemiecku przestrożę, żeby się cofnęła, bo tu stoi artyleria i zaraz strzelać zacząną. Nie po to jednak tu przyszła, by wracać.

Na widok samotnej kobiety, prowadzącej kilkuletnią dziewczynkę za rękę, jeden z oficerów podszedł do niej pytając, czym jej służyć może.

- Dom spalili mi Moskale, uciekłam stamtąd z dzieckiem – wyrzuciła jednym tchem – w wojsku austriackim mam krewnego – generała R. Czy nie wie pan, gdzie on się obecnie znajduje?

- Ależ i owszem, to nasz kochany dowódca. Tu jest, o miłą, w lesie. On właśnie polecił nam pytać i dowiadywać się o państwa Boguszów. Odeślemy tam panią.

W pół godziny później siedziały przy śniadaniu w leśniczówce. Dookoła same życzliwe i pełne współczucia twarze. Po przejściach minionego dnia czuły się, jakby w bezpiecznej przystani. Dziwny jest czasem zbieg wydarzeń. Kozłów – siedziba pana W. R. – zdobywany był przez jego stryjecznego brata, generała R. Rosyjski zaś generał, który ostatecznie z Kozłowa ustąpił, to samo nosił nazwisko i był prawdopodobnie Polakiem.

W czasie tych sześć tygodni trwających zapasów nad Bugiem – Derewlany¹¹ – majątek mojego zięcia – stał się tak zwanym *Stützpunkt*. Córka moja chciała pozostać jak najbliżej, gdyż tam miała zakopane kosztowności, pieniądze i

¹¹ Derewlany – miejscowość na północny-wschód od Lwowa, oddalona o ok. 64 km.

kwity na wzięte przez austriacką armię konie. Przedstawiało to wartość kilkudziesięciu tysięcy koron, a dla niej wówczas było to kwestią życia, więc chciała w razie ustąpienia Moskali znaleźć się pierwsza na miejscu, by ją w poszukiwaniu kto niepowołany nie ubiegł. Na razie żywił ją sztab, a gdy generał R. dalej posunąć się musiał, zajął się nią równie serdecznie Ekscelencja Generał Kossak. Życie obozowe było dla niej zajmujące. Brała udział w różnych uroczystościach, słuchała mszy polowej, wszyscy wojskowi okazywali jej wiele uprzejmości, współczując jej smutnemu losowi.

Na jej polach tymczasem żołnierze robili żniwo, gdy dwóch zginęło od kul rosyjskich, tak się tym zmartwiła, że zaczęła prosić, by raczej zbiorów zaprzestano. Nic to jednak nie pomogło, wytłumaczono jej, że zbiór odbywać się musi w interesie armii, a żołnierz przeznaczenia uniknąć nie może i wszystko jedno, czy ta kula trafi go w szeregu, czy na jej łonie! Jej zdaniem jednak mało sobie armia przysparzała tą robotą pożytku. Sama pilnowała jak mogła, ale oficerowie Węgrzy, którym tę czynność powierzono, tak mało się na gospodarstwie rozumieli, że dużo zboża zmarnowali. Dla siebie zatrzymała niewiele, a i to tak wymieszane, jare z ozimym, że na zasiew nie sposób było użyć.

Po kilku tygodniach pobytu na leśniczówce, przeniosła się do Nahorzec¹², do kuzynki naszej, która ją serdecznie ugościła, mimo, że sama na mieszkanie w licej oficynie była skazaną. Pani ta, pomimo znacznej fortuny, mieszkała na wsi nawet w chwilach największych przemarszów wojsk. Jak ogół wiejskich obywateli, odczuła przykrość i straty z powodu dwukrotnego “przemaglowania” toteż, pomimo bardzo wybitnych austriackich sympatii, skarżyła się wszystkim starszym wojskowym, że wycierpiała “*so viel Schaden*”. Po niemiecku nie wiele więcej umiała powiedzieć. “Za rosyjskich carów” – mówiła – “przynajmniej poważaną byłam, nazywali mnie hazajką, albo *wysokobłahorodną pomieszczyką*, teraz mię lada żandarm z domu wyrzuca”. I rzeczywiście dom jej na szpital wzięto, i to na szpital dla cholerycznych, a wskutek bliskości frontu, musiał ciągle różnych wojskowych w tej małej oficynie przyjmować.

Jednego z tych panów uprosiła moja córka, by jej pomógł zrobić wyprawę do Derewlan po zakopane rzeczy. Wzdragał się długo, bo to było niebezpieczną imprezą, ale w końcu “*Ce que femme veut*”¹³ zwyciężyło. Pojechali dwoma furami, w jasną, księżycową noc. Gdy weszli w głębokie rowy okopów, dwa szrapnele przeleciały im nad głowami. Wojak

¹² Nahorce – wieś nieopodal Kulikowa, oddalona od Lwowa o 25 km na północ.

¹³ *Ce que femme veut, Dieu le veut* (przysł. franc.) – czego chce kobieta, tego i Bóg chce.

przestraszył się odpowiedzialności, ale córka moja ani myślała o niebezpieczeństwie. Obawiała się raczej, że idąc tymi tysięcznymi zakrętami głębokich korytarzy, straci całkowicie zdolność orientowania się. Nie wiedziała gdzie jest, i czy do miejsca, gdzie ukryła te rzeczy trafi. A wtedy tyle trudu i zabiegów, żeby się dostać tutaj, poszłoby na marne. Mały szczegół naprowadził ją na właściwy kierunek. Na środku dziedzińca stała, jak dawniej, ogromna muszla, liście jej wydłużone, nie straciły bynajmniej zieloności, i przy lekkim wietrzyku, chwiały się jak gdyby szeptały smutne "memento". Zanim przywiezieni w tym celu żołnierze rozkopali dół w oznaczonym przez nią miejscu, poszła oglądać swoje ruiny, poszarpane zręby stojących murów. Gruzy i gruzy! W świetle księżycy wyglądały jak jakiś groźny, pełny tajemnic obraz. U stóp schodów terasy zakwitły na nowo pelargonie, zauważyła świeże pędy i nowe kwiatów korony, zerwała kilka na jej terasie! Ziemia, ta nieustraszona karmicielka, podźwignie i tę złamaną i przygniecioną roślinę. Wymaże zdwojony wysiłek na tej skołatanej duszy. Zmusi do życia pełnego wyrzeczeń, rozbudzi energię, zmusi do pracy wytężonej, by tę jej częśćkę wytrzymać.

Wtem zaczęły padać strzały. Równocześnie widzi biegnącego ku sobie chłopca stajennego, który dźwig przed sobą świeżo wydobytą, ogromną poduszkę i woła z daleka, że już rzeczy znaleźli. W tejsze chwili bęc! Pada kula i dziurawi na wylot

poduszkę, chłopca nie tykając. Pędzą ku furom, moja córka chce robotę przerwać, woli wyrzec się tych rzeczy, aniżeli dźwigać straszny wyrzut sumienia, że ktoś gotów życiem przypłacić awanturniczą wyprawę dla jej zachcianki przedsięwziętą, ale już byli gotowi do wyjazdu.

Obie fury wypełniły się kuferkami, pakami i blaszanymi skrzynkami. Niektóre rzeczy uległy rdzy, książki zaczynały butwieć. Dziwnym zbiegiem okoliczności, prawdopodobnie przez zapomnienie, zięć mój, chcąc w ostatniej chwili ukryć stadne maciory, kazał je zapędzić do tego samego podcienia terasy domowej, w którym najwięcej rzeczy zakopano. Zwykle takie skrytki kozacy najpilniej przeszukiwali, i od miejsca do miejsca lancami kłuli. Miękką ziemię zdradzała zawsze, że ją niedawno ruszono. W tym wypadku jednak ucieszyli się świniami, a że przez parę dni nikt nawozu spod nich nie wyrzucał, nie odgadli, że trzy miesiące już temu skrzętna gospodyni ukrywała tam kolejno wszystko, co tylko jakąś wartość przedstawiało. Jednak nie wszystkie rzeczy powróciły do właścicielki. Oprócz terasy był jeszcze schowek w ogrodzie i stamtąd wiele przepadło. Były kosztowniejsze futra, suknie, bielizna, dużo pościeli. Prawdopodobnie ktoś ze wsi wyszedł i zapamiętał miejsce. Kul bowiem chłopci nie obawiają się wcale. W czasie tych walk cały sad derewlański, wyjątkowo obficie owocami obsypany, został przez miejscowych i sąsiednich chłopów doszczętnie objedzony.

W jesieni zamieszkała moja córka tuż naprzeciw swych ruin, w ekonomówce, po drugiej stronie Bugu. Co dzień przeprowiała się łódką, lub krą szła, gdy rzeka zamarzała, by jakie takie gospodarstwo na powrót zaprowadzić. Wieś była tak doszczętnie spalona, że wszyscy chłopci mieszkali w ziemiankach. Często też w ich biedzie i opuszczeniu musiała przyjść z pomocą, bo i głód doskwierał, i choroby grasowały.

Dziś, koło okopami rozoranego parku, koło ruin, które coraz mniej dumnie sterczą, gnieździ się już mały, bielutki domeczek. Czyste milutkie pokoiki, i całe nowe urządzenie, zdają się czekać na przybycie tego, którego okrutna ręka najeźdźcy, w obce przerzuciła progi. Gdy wróci, to wprawdzie z pracy lat minionych nie zostanie kamienia na kamieniu, ale znajdzie za to serce czułe, a odważne, którego przeciwności nie obaliły, i ten biały domek, zaczątek nowej pracy. Niech radzą nad odbudową Galicji inżynierowie i technicy, pierwszy zrąb przyszłej polskiej siedziby założy niewiasta, i da Bóg, potrafi podtrzymać jej trzy węgly.

Cała tamta okolica, koło Kamionki, Kozłowa, Milatyna, ucierpiała wiele z powodu zatrzymania się ofensywy wojsk naszych. Różne choroby panowały epidemiczne, a najwięcej

ofiar zabierała krwawa dyzenteria. Ludność odżywiała się fatalnie, najczęściej surowymi jarzynami, lub owocami niedojrzałymi, gdyż o miedzę ruszyć się nie było wolno bez przepustki. Dotąd zrozumieć nie mogę, jak mogli czas ten przetrwać ludzie, do jakich takich wygod przywykli. Byli tam nauczyciele wiejscy, księża, oficjaliści prywatni, leśniczowie z rodzinami. Ludzie ci pozostali bez dachu nad głową, w niemożności nabycia kawy, cukru, herbaty, lub choćby jakiej omasty do gotowania strawy. Córka kołatała wciąż do mnie o zaradzenie tej biedzie. Postarałam się o fundusze i zakupiłam niezbędne artykuły w Komitecie Biskupim¹⁴, ale jak to im posłać, kiedy nic ze Lwowa wywozić nie wolno? Kazali mi się starać o pozwolenie. Nigdy nie zapomnę tej mojej pierwszej, po różnych biurach, etapach i komendach pielgrzymki. Zwiedziłam wtedy wszystkie, przez wojsko zajęte gmachy, aż do czwartego piętra i wyżej. Gdy mię z pierwszych biur zwracano do innych, myślałam, że rzeczywiście niewłaściwą obrałam drogę, gdy mię jednakże następnie znów do poprzednio odwiedzanych zaczęły odsyłać, spostrzegłam, że jest to błędne koło, że każdy z tych panów po urzędach nie chce brać na siebie żadnej odpowiedzialności i rad tylko na razie uchylić się od decyzji. W desperacji, że nic tym biedakom

¹⁴ Komitet Biskupi – właśc. Książęco-Biskupi komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny, zał. Na pocz. r. 1915 w Krakowie przez ks. Adama Sapięę, od 15 sierpnia 1915 działający we Lwowie i kierowany przez lwowskich biskupów: Józefa Bilczewskiego i Józefa Teodorowicza.

pomóc nie mogę, postąpiłam jak Kolumb z jajkiem. Dowiedziawszy się, że jakiś wojskowy jedzie w tamte strony, wypakowałam mu automobil słoniną, cukrem i kawą z poleceniem, by to odwiózł oo. Misjonarzom do Milatyna, i prosił ich, by rozdzielili to między potrzebujących. Tym sposobem zabezpieczyłam się od rewizji na rogatce, ale i odebrałam pierwszą lekcję, jak przy wszelkich względach dla władz, obchodzić ich przepisy bez najmniejszego skrupułu. Później dopiero Komitet Biskupi wyrobił sobie przywilej, że jego posyłek nigdy nie kwestionowano. Ale to było później!

W dalszej niepewności o los naszego domu, dłużyły nam się dni w nieskończoność. Krasne już w rękę austriackim! Kilku Żydków stamtąd przyjechało. Pytamy, czy który nie widział choć z daleka naszego domu? Nie uważali. Nie pamiętają. Jeden widział. Dawajcie go tu. Widział pół domu. Jak to pół, a cóż z dachem? W dachu była dziura. No a drugie pół domu? Zdaje się, że szrapnel rozwalił, bo tam także dziura. Bodajże cię z tymi dziurami!

Pierwszych dni września, szarym zmrokiem, zajechała fura z S. na naszą ulicę. Konie i wóz tamtejszego gospodarza. Na wozie nasz kucharz i baba, która nam zawsze wiktuały przywoziła. Nie ma już Moskali!

- Bili się u nas?

- Nie! Spokojnie uciekali. Kilku zasnęło i w nocy bez butów fury dopadli o pojechali, ale ich nasi tuż za Brodami złapali.
- A dom?
- Dom stoi! Tylko drzwi powywalane, posadzka zerwana i szyby wybite...
- Meble?
- Wszystkie wywiezione. Nie zostało nic...
- Młyn?
- Spalony do cna, benzynę lali, bo ani śrubki całej nie znajdzie.
- Folwark?
- Spalony, że i drzwi nie widać, jedna tam pustynia.
- Gorzelnia?
- Tylko na środkowej części dach się trzyma, maszyny i kotły zabrali, resztę spalili.
- A inne domy?
- Albo spalone, albo rozebrane. Wszystko drzewo ciągnęli do okopów, więc się powaliły.
- Krowy? Konie?
- Nie ma nic. Zabrali!
- Ha! Wola Boża! O szczęściu jeszcze mówić możemy, bo został dach nad głową i parę bud rozwalonych. Gdzieniedzie i tym pochwalić się nie mogą! Tylko, mimo woli zadajemy sobie w myśli pytanie: "po co nas odbijali?"

Różnie bywa na tym świecie

Podobny, mniej więcej taki sam, los spotkał wszystkie dwory okoliczne. I to bez względu na to, czy właściciele byli obecni, lub nie, przeciwnie, jakby na ironię, dom pana Ujejskiego w Pawłowie¹⁵, który zaraz w chwili wydania wojny wyjechał z córką, pozostawiając wszystko losowi, nie tylko, że pozostał nietknięty, ale nie brakło w nim nawet takich drobiazgów, jak lampy, wazony na kwiaty, albumy z fotografiami. Państwo Schnellowie w Firlejówce¹⁶ pozostali w domu i z anielską cierpliwością znosili coraz to nowe najazdy wojskowych, którzy wprawdzie zadawali się gościnnymi pokojami i nie wyrzucali ich z domu, ale zachowywali się lekceważąco i byli jakby umyślnie nieprzyjemni. W końcu wystąpili z propozycją, że własnymi końmi (bo konie właściciele dawno już stały się ich własnością) odwieżą państwa do Kontów, do siostry pani, gdyż tu będą się prawdopodobnie toczyć walki. Wprawdzie walk nie było, ale oni mieli rozkaz palić, a przedtem chcieli jeszcze wybrać niejedno z bardzo ładnie urządzonego domu. Zwłaszcza

¹⁵ Pawłów – majątek ziemski nieopodal Lwowa, w posiadaniu Ujejskich, miejsce spoczynku poety Kornela Ujejskiego (1823-1897).

¹⁶ Firlejówka – majątek ziemski nieopodal Krasnego. Miejsce dużej bitwy w czasie wojny polsko-bolszewickiej (6 września 1920 r.). Schnellowie – rodzina ziemiańska pochodzenia austriackiego z okolic Brodów: Artur Schnell (zm. 1920) i jego brat Witold (zm. 1934), także właściciel tartaku.

piękne tam były stare angielskie litografie, a na tych umieli się zawsze poznać Moskale. Nikt nie mógł dokładnie opowiedzieć, jak to się tam odbyło. Służba państwa Schnellów widząc, że dom podpalają, rzuciła się meble wynosić, w pośpiechu każdy chwycił co lżejsze przedmioty. W rezultacie właściciele za powrotem znaleźli tylko jeden domek ss. Służebniczek nie spalony, a z mebli dorachowali się jednego łóżka i szafy, za to sześćdziesięciu krzesel i foteli. Proponować opłatę ażeby nie podpalili, było nieroztropnie. Zwłaszcza, jeśli dom stał blisko głównego traktu, trzeba by chyba było składać tę samą daninę każdej następnej dywizji. Panu Gniewoszowi w Kontach kapitan oświadczył z miną znaczącą, że mają rozkaz palić. "Palcie", odpowiedział, "jeśli macie taki rozkaz", i nie spalili. Im bliżej Brodów, tym mniej palili. W Kontach walki trwały około dwóch tygodni. Państwo G. i Schnellowie byli przez cały ten czas, jak w zamkniętej twierdzy. Nawet do ogrodu, pełnego sałdatów i artylerii wyjść nie mogli. Wśród licznych rosyjskich oficerów, był jeden Polak – pan Grabowski. Człowiek gładki, dobrze wychowany. Jak mógł osładzać im przykre położenie. Przynosił cukierki, pocieszał, że to już długo nie potrwa, możliwym nawet, że za jego przyczyną mniej było szkód, niż w innych miejscowościach. Mimo to, nieustanny huk armat przyprawiał ich omal o utratę zmysłów. Pani Schnellowa chciała koniecznie uciekać gdzieś w świat. Ledwie ją powstrzymali, bo i tak byłoby wojsko

nigdzie nie puściło. Zrozpaczonym zdawało się, że ten huk nigdy nie ustanie. Nadeszła noc ostatnia! Iście piekielna noc! Strzały wpadały do pokoi. Wybrali więc jeden, wstępny, który z trzech stron miał ściany podwójne i tam drzemiąc na fotelach obok spędzali tę noc. Gabriela, wierna panna służąca, siedziała obok pani Schnell głowę o jej fotel oparłszy, zrywała się jednak co chwila, ażeby podsłuchiwać w sieniach, co mówią przy telefonie. Dowiedziała się, że stanowczo cofać się będą. Gdy nad ranem telefon się odezwał, panie zaczęły ją zatrzymywać, by nie szła podsłuchiwać, bo to niebezpieczne. Mogli ją na tym złapać. Nie usłuchała. Zaledwie wyszła, nastąpił straszny huk, światła pogasty. Wszystkie szkła na ziemię pospadały. Pani G. widziała kulę ognistą w miejscu, gdzie siedzi pani Schnell. Woła i krzyczy, nadaremnie. W końcu, przekonana jest, że siostra jej żyje. Wbiegają na odgłos detonacji panowie S. i G. ze światłem. Chwilowo ogłuszona pani S. przychodzi do siebie. Ma naskórek policzka lekko odarty i miałem z muru cała obsypana. Ktoś ręczny pocisk rzucił przez okno, upadł właśnie w miejscu, gdzie spoczywała głowa Gabrieli. Ciekawość uratowała jej życie. W godzinę później padł jeszcze jeden pocisk przez okno, nikomu nie przynosząc szkody. Był to ostatni. Pożegnalny. Potem zapanowała cisza. Dniało już, gdy usłyszeli głośnie dobijanie się do drzwi wchodowych. Był to oficer austriacki, który spatrolowawszy ogród i podwórze, przekonał się, że nigdzie

nie ma Moskali, przyszedł donieść o tym właścicielom i zasiedli wspólnie do pierwszego wspólnego śniadania.

Podobne rzeczy przechodzili ci, którzy na wsi oczekiwali rozwoju wypadków. Inna moja znajoma – pani I. Cieńska¹⁷ - przybyła takie same chwile w głębi ogromnego, staroświeckiego kominka. Dwie siostry, starsze już osoby – panie Wierzchlejska i Krajewska – opowiadały, że byłyby pieszo uciekały do Lwowa. Dużo też wycierpieli i panowie. Ci często musieli staczać walki, by ich przymusowo nie wywożono. Pana Adama Thulliego z Rzepniowa, człowieka sześćdziesięcioletniego, gnał kozak związanego sznurem, przytroczywszy go do siodła. Dopiero w Brodach udało mu się okupić i zbiec z powrotem. Kogo z mężczyzn pochwycili, to zawsze tak prowadzili. Zdarzyło się to naszemu ekonomowi, panu Kosickiemu, ale miał dużo rubli przy sobie, więc prędko się uwolnił. A jakie zniszczenie! Czego nie zmiotli z pola Rosjanie, temu poradzili honwedzi¹⁸, w których duch przemysłnego psucia i rozbijania pokutuje widocznie od czasów Attyli. Żadnego ogrodzenia, drzwi, słupów nie oszczędzili. W Królestwie tłumaczyli się, i wierzyli w to

¹⁷ **Cieńscy** – Tadeusz Cieński (1856-1925), ziemianin, żonaty z hrabianką Marią Dzieduszycką, jedną z czterech córek Włodzimierza Dzieduszyckiego (1825-1899) i hrabianki Alfonsyny Miączyńskiej. Poseł na Sejm Galicyjski. Cieńscy posiadali (wielokrotnie opisywany na kartach niniejszego pamiętnika) majątek Pieniaki w powiecie brodzkim.

¹⁸ Honwedzi – z węg. *Honvéd* – żołnierze węgierskiej obrony krajowej (Landwery).

święcie, że są w *“Freindestlandzie”*. Na Galicję mówili, że to jest *“ein Land der Verräter”*¹⁹. Trwa to jeszcze do dzisiaj i strach pomyśleć, ile tu ludzkiej pracy i zapobiegliwości przepada. Jak wyglądają nasze lasy po ich rabunkowej gospodarce! Najgorzej, że naszych skarg i zażaleń nie chcą władze uwzględnić. Pieniaki²⁰, skarbiec tradycji i pamiątek, przybytek każdemu Polakowi drogi, zostały z prześlicznych starych mebli kompletnie ogołoczone. Właściciele znali pułki i imiennie oficerów austriackich, którzy rabunku dokonali. Wnieśli zażalenie do Komendy II armii. Otrzymali odpowiedź, że to nieprawda! Czy po tej niekończącej się wojnie, będzie możliwość dochodzenia i procesów? Czy będą takie pretensje uwzględnione? Ale dość o tym. Zapisywać wszystko, co się pod pióro ciśnie jest fizycznym niepodobieństwem, a to, o czym słyszymy, jest zaledwie częstką tego, co się w Polsce i na Litwie dzieje. Może teraz, kiedy nam lepsza przyszłość świta, będziemy mniej pamiątkami przeszłości żyli. Musiałaby ona jednak być bardzo świetlaną, by nasz żal ukoić. A jakoś dotychczas tak się nie zapowiada.

¹⁹ *Ein Land der Verräter* (niem.) - państwo zdrajców.

²⁰ Pieniaki (Huta Pieniacka) – wieś w pow. brodzkim. Twórcą fortuny, zwanej w czasach jej świetności *“Państwem Pieniackim”* był Ignacy hr. Miączyński (1760-1810), pomysłodawca okazałego zespołu pałacowo – ogrodowego. W okresie, którego dot. niniejszy pamiętnik pałac w Pieniakach należał do hrabiów Cieńskich.

Jako „*pendant*”²¹ do rozmowy z księciem W., który mówiąc o rabunkach Moskali i Rusinów wyraził się, że „*es Liegt schon in slawischem Blutte*” przytoczę świeżo z pamięci powstałą pogadankę o pewnym austriackim Fliegerem. Skarżył się mianowicie, że go nie powołano do Rumunii. Tam prędko można dorobić się majątku. Teraz tam tylko Prusacy, „*diese Boschen*”, mówił z zaciętością, zabierają wszystko, a co im niepotrzebne, to niszczą.

- Jakżeż to – zapytałam. – Zabierałby pan ze sklepów?

Rabował pałace?

- Bezwarunkowo!

- Ależ panie, po co porządnemu człowiekowi zabierać cudze rzeczy? Tyle na nich ciąży łez, złorzeczeń za krzywdę. Każdy kocha swoją własność, choćby bezwartościową. Wiem, jak mię bolała utrata drobiazgow nieraz. To też memu synowi pokazałabym drzwi, gdyby mi jaki cudzy grat przyniósł. Ale nie ma o to obawy. Był obecny rabunkom w Poczajowie²², patrzył jak Niemcy wycinali obrazy, zabierali bajeczne wprost ornaty, ale mu ani przez myśl nie przyszło wziąć coś dla siebie.

- To szkoda, bo miał do tego wszelkie prawo.

- Więc Moskale mieli prawo zabrać i wywieźć nasze meble?

²¹ *Pendant* (franc.) – odpowiednik, przykład, nawiązanie do czegoś.

²² Poczajów – miasto w rejonie krzemienieckim, w obwodzie tarnopolskim, ok. 40 km. na wschód od Brodów.

- *Auberdingt*.

- Mieli prawo porozbierać naszą broń i strzelby złożone za pokwitowaniem w magistracie?

- *Kriegsrecht*²³.

Więc jedni zabierają, bo mają "*slawischen Blut*", a drudzy postarają się o prawo! Dwie nazwy dla tego samego uczynku.

Co po zmianie rządów uderzyło nas, to szalona preponderancja Żydów. Pełno ich we wszystkich biurach, etapach, dostawach. Robią wrażenie wybranego ludu. Na zachodzie, a zwłaszcza w Wiedniu, szalone porobili majątki, i czekają na pokój, by we wschodniej Galicji ziemię zakupić. Dowcipnisie utrzymują, że trzy litery na czapkach żołnierskich, które mają znaczyć: *Franz Joseph der erste* znaczą właściwie "*Für Jüdische Interesse*".

Drugi dowcip jest zabawniejszy:

Skarżyli się ludzie Bogu, że na ziemi krew się leje, że się ludzie mordują wzajemnie, błagali i prosili, by zaradził tylu nieszczęściom.

- Jakże wam radzić – mówi Bóg. – Posłałbym wam mego Syna, cóż, kiedy ma lat 33 i w wojsku nie służył, to zaraz go w szpangi weźmiecie i gotowicie drugi raz umęczyć. Poszedłbym sam, ale jak tylko mój tron opuszczę, to się gotów

²³ *Kriegsrecht* (niem.) – wojenne prawo.

Wilhelm na nim usadowić. Może Mojżesza wam pošlę. Sprytny jest, na każdą biedę umiał sposób znaleźć.

Poszedł Mojżesz, ale po niedługiej chwili powrócił mocno zadowolony.

- Panie Boże – mówi. – Ja tam niepotrzebny! Wszyscy moi są na etapach, albo przy aprowizacji, a tam krwi nie widać, tylko dużo złota u dostawców.

I martwił się Bóg, a ludzie bili się dalej.

Inna anegdotka też podobnej treści:

Do bram nieba puka cesarz Franciszek Józef. Puka długo, nadaremnie. W końcu, u szczytu niebieskich podwoi, ukazuje się głowa aniołka.

- Nie trzeba daremnie się dobijać. – mówi. – Święty Piotr bardzo zajęty. Dużo dziś mamy petentów. Musisz czekać kolei.

- A może jest tam mój patron – Święty Józef?

- Od dawna na Froncie.

- To Święty Franciszek?

- W szpitalu garnizonowym w ...

- Matka Boska?

- W Polsce! Korony swojej pilnuje, żeby jej Prusacy nie zarekwirowali.

- Ale Pan Bóg jest?

- A cóż to nie wiesz, że teraz ofensywa? Pan Bóg nie ma czasu.

- To nie pozostał w niebie nikt z takich szanowniejszych?

- Owszem! Abraham, Mojżesz, Izaak...

- *Ah! Genau, so wie in meinem Statte.*

Z Królestwa wieści coraz żałośniejsze. Moskale ustępując, palą, tysiące ludzi zabierają przymusowo. Bezdomne tłumy obozują po lasach. Małe dzieci giną z głodu i zimna. Obywatele tamtejsi organizują pomoc zbiorową, wysyłają furami żywność dla tych nieszczęśliwych. Praktykują miłosierdzie, a sami wkrótce potrzebować go będą. Trakty zawalone uciekinierami z Galicji. Wojska centralnych zbliżają się do Lublina.

Opowiadał mi pan Remiszewski, administrator większego klucza w Galicji, że gdy go Moskale przymusowo zabrali, od razu ułożył sobie, że się da zagarnąć wojskom centralnych w jednym z miast Królestwa i w ten sposób powróci do siebie. Toteż od pierwszej chwili udawał dobrowolnego pasażera. Na pierwszym zaraz etapie postarał się o przepustkę, a że go wywieźli własnymi końmi, więc skierował się w Lubelskie. Zamieszkał u pana R., obywatela tamtejszego, i pomagał w rozwożeniu i rozdawaniu żywności tym tysiącom i krociom pozbawionych dachu biedakom. Tu doczekał się porządnego biegu wypadków, gdy wojska austriackie zbliżały się do Lublina. Moskale, z wyjątkiem młodych, do poboru zdatnych ludzi, nie zabierali nikogo. Zdaje się, że mieli już dość kłopotu

z dawniej wywiezionymi. Przez parę dni były straszne detonacje, bo wysadzali mosty i gmachy rządowe, potem nastąpiła cisza. Na drugi dzień wojska austriackie z legionami na czele weszły do Lublina²⁴. Było to wejście uroczyste, z muzyką, która grała same narodowe pieśni. Ludność wyległa na ulicę. Stali spokojni, korni, nie mrugając oczyma. Daremnie kapela legionistów wygrywa polskie hymny i marsze. Oni ich nie znają, nie wiedzą, co to jest. Dopiero, gdy kilku ułanów Beliny wyjechało naprzód i jeden przemówił po polsku, serdecznie witając ich w imię Polski, za którą się biją i wolności im przyobiecanej, zakołysały się skamieniałe szeregi. Rzucili się ławą ku polskim żołnierzom, uczynił się zgiełk, tumult, okrzyki radości, uniesienia. Pan R. płakał jak bób z rozczulenia, takie mu się to wszystko wydało prawdziwe i radosne.

Po południu zaczęli umarli z grobów wstawać. Cała młodzież, nie mając gdzie się ukryć przed Moskalami, pochowała się w nagrobkach na cmentarzu. Dopiero teraz wtajemniczeni przyszli odwalać płyty kamienne.

Legionom przybyło bardzo wielu nowych ochotników! To opowiadał pan R., człowiek kilkudziesięcioletni, który przywykł do dawnego sposobu myślenia, a jako patriota

²⁴ 30 lipca 1915 r.

galicyjski cenił sobie tutejsze stosunki i wolności, i niczego lepszego braciom zakordonowym życzyć nie mógł. Zaś jeden z tamtejszych obywateli, człowiek młody, patrzący na wszystko trzeźwymi, może aż nazbyt trzeźwymi, oczyma, opowiadał, że jemu wydawało się to nienaturalnym, a Beliniacy²⁵ komiczni ze swymi wysokimi czapami. Właściwie Anie jednemu, ani drugiemu dziwić się nie można. Wojska austriackie i niemieckie przechodzące Królestwo tam i z powrotem dobrze dokuczały tamtejszym obywatelom. Że Niemcy i Węgrzy wykształceni, nie umieli, i dotychczas nie umieją pozyskać sobie tamtejszych mieszkańców, winna temu dziwna ciasnota ich umysłu, i jakiś zupełny zanik najzwyczajszej elementarnej etyki. Daje się to często spostrzegać w rozmowie z nimi. Na dowód przytoczę opowiadanie jednego oficera huzarów, o ile mi się zdaje – Niemca:

W roku 1914 byłem często wysyłany do patrolowania w Królestwie. Raz zapędziłem się daleko, a że koniom i ludziom należał się wypoczynek, zajechałem do jakiegoś większego majątku pod chłodnym cieniem drzew przy wjeździe do ładnego pałacyku, posiadaliśmy z koni i wypoczywali. Uważałem, że na nasz widok, grono osób przed domem, przeważnie z kobiet złożone, rozproszyło się trwożliwie. Po paru minutach podszedł

²⁵ Beliniacy – 1. Pułk Ułanów Legionów Polskich utworzony w 1914 r. przez pułkownika Władysława Belina-Prażmowskiego.

do nas jakiś pan, niezłe po niemiecku mówiący. Przedstawił się jako tutejszy gospodarz i zaprosił nas do dworu na śniadanie. Konie kazał umieścić w stajni. Przeprosiwszy za nasz strój wojenny, poszliśmy za gospodarzem. Śniadanie było wytworne, ale całe towarzystwo dość milczące, jedna tylko młoda panna, widocznie dobrze mówiąca po niemiecku, zabawiała nas pilnie rozmową. Ponieważ dużo o koniach mówiliśmy, po śniadaniu zaproponowałem jej, żeby poszła obejrzyć nasze konie. Zgodziła się chętnie. Wszedłszy jednak do stajni, spostrzegłem, że moje huzary też pożywiają się w czeladnej, i że oprócz koni, nie ma tu ani jednej żywej duszy. Wtedy przyszedł mi ein schlechter Witz do głowy. Zamknąłem drzwi za sobą, wyjąłem rewolwer i kierując go do rezolutnej, wesołej panienki powiedziałem ostrym głosem:

- Teraz pani jest w mej mocy, mogę od pani zażądać czego zechcę.

Raptem widzę, że panna zbladła jak płótno, stania się i opiera o ścianę. Wtedy schowałem broń i zacząłem ją uspokajać, mówiąc, że to tylko Moskale tak postępują.

Milczałam – wzrok mój mimowolnie skierował się ku drzwiom.

- I to pan Polce zrobił?

- No tak, to był taki złośliwy żart.

Wyniósł się wkrótce potem. Prawdopodobnie było mu przykro, że nie umiałyśmy ocenić humorystycznej strony tego "Witzu".

Z postępów Prusaków w Królestwie i na Litwie nie mam dokładnych relacji. Po rozgoryczeniu sądząc, nie dzieje się tam najlepiej. Z puszczy niepołomickiej, z lasów niebotycznych, wywożą drzewo. Piękne pałace i dwory rabują z mebli, obrazów, pamiątek. Nie mówię już o zbożu i bydłe, Tych naprawdę potrzebują. Podobno w Berlinie głód nie do wytrzymania. Ostatni koncept, ale to już nie wojskowy, opowiadano mi niedawno.

Pod pozorem szukania zwłok poległych oficerów pruskich, jakieś przedsiębiorstwo przywiozło do Królestwa pięćset trumien i rozesało do różnych powiatów, niby to w celu zabierania nieboszczyków. Wskutek denuncjacji zrewidowano wracające trumny na granicy. Okazało się, że zawierały mąkę, bite świnie, drób etc.

Teraz (tj. 10 kwietnia 1917) mówią o cesarzu niemieckim, że ranny wskutek atentatu. Inni, że chory na gardło, inni, że umysłowo! Chyba *Grössenwahn!* Opowiadają też, że raz zapowiedział się do Wiednia z odwiedzinami o pewnej oznaczonej godzinie, ale się pośpieszył i przybył o dwie godziny za wcześnie. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, siadł do fiakra i kazał się po mieście obwozić. Uprzejmy wiedeński fiakier, wskazywał mu różne pałace i "*Denkmale*", objaśniając wszystko dokładnie. Naturalnie nie wiedział kogo ma zaszczyt wieść. Raptem staje:

- *Euere Gnaden!* Nie mogę dalej jechać.

- Dlaczego?

- *Euere Gnaden* nie wie? Dziś przyjeżdża wielki cesarz Wilhelm zwycięzca. Ja muszę być na dworcu!

Podobało się to okrutnie cesarzowi, wyszedł i dał fiakrowi stumarkowy banknot.

- *Wissen Euere Gnade was* – mówi fiakier gładząc z upodobaniem papierek. – *Fahren weiter – ich pfeif auf den Kaiser!*

Znajomy nam doktor opowiadał mi, że w szpitalu miał trzech pacjentów, chłopów aż spod Lublina. Dwaj, starsi już, jeden kilkunastoletni chłopczyna. Wszyscy trzej zostali w roku 1915 wzięci na forszpan przez Austriaków zupełnie bezprawnie. Jeździli ze swymi końmi i wozami za wojskiem przez parę miesięcy. Dostali się aż w Karpaty. Tam odebrali im wóz i konie i zapisali do *Arbeiterabteilung*. Kopiając rowy i nocując w zimnych barakach przez lat dwa, nabawili się – jeden płucnej choroby, drudzy dwaj reumatyzmów stawowych. Jak ci się skarżyli na ciężką swoją krzywdę! Zwłaszcza jeden, inteligentniejszy, pieniał się formalnie na to bezprawie: “gdybym popadł w najgorszą niewolę, to jeszcze lżej by mi było! Miałbym się gdzie za siebie upomnieć, a tak, nawet nikt słuchać nie chce”. Doktor – dobry Polak, i też królewiać, zrobił co było w jego mocy, żeby mogli d swoich

powrócić, ale ilu takich biedaków było, kiedy jeden doktor aż trzech napotkał...

I jak tu się dziwić chłopom z Królestwa, że za Moskalami żałują? Za cóż Austriaków kochać? Choć podobno teraz bardzo się z legionami bratają, i tylko ich proszą, żeby prędko "Miemców" przepędzili. Już im rekwizycje kością w gardle. Podobno konie zabierają w ten sposób, że w czasie jarmarku cernują²⁶ miasteczko. Wtedy wybierają co lepsze konie, z wozów wybierają, a ty gospodarzu wracaj sobie jak chcesz do domu.

Co dalej?

Pola nie orane. I zboże, i ludzi zabrali Moskale. Nadchodzi jesień, trzeba coś robić z tą ziemią, chwastami pokrytą. Armia obiecuje pomoc. Daje konie i ludzi, ale *bis dat qui cito dat*²⁷. Tu już czas najwyższy, a tymczasem organizują się rejony, mianują komendanci. Biegaj-że nieszczęsny człowiecze od jednego do drugiego i trzeciego, a każdego ci powie, że to do niego nie należy. Bank wojenny daje pożyczkę 3% na zasiewy. Obiecują, geod każdego zasianego ozimną morga dostaniemy 25 koron premii. Warto siać choćby dla

²⁶ Cernują (bałak, z niem. cernieren) – obserwować.

²⁷ *Bis dat qui cito dat* (sentencja łac.) – dwa razy daje, kto szybko daje.

premier. Jak tam ze zbiorem będzie, trudno przewidzieć, ale tymczasem przyda się premia na życie, bo w kieszeniach pustki. Trzeba chodzić po biurach, szukać odnośnych władz, prosić by dali konie do orki, jeńców do zbioru kartofli. Ta żebranina we Lwowie pochłania wiele czasu. Najpierw targ i wersacje z żandarmem u bramy. Dowiedziawszy się, że chcemy się widzieć z powodu "*Landwirtschaftliche Angelegenheiten*" żandarm każe żołnierzowi, by nas poprowadził do biura odnośnego dygnitarza. Na górze, w przedpokoju wywiad z adiutantem, któremu zwierzymy się jak najmniej. Prosi siedzieć, bo trzeba czekać kolei. Sytuacja niemiła, ciągle kręcą się wojskowi. Nareszcie dygnitarz przyjmuje, prośbę naszą przedstawiamy jak najkrócej. Uprzejmy bardzo, obiecuje wszystko, krzepi w nas otuchę, a żegnając prosi, żeby za tydzień przyjść mu przypomnieć. Przypominamy, nie raz, ale dwa i trzy razy, a rezultat minimalny, a czasem żaden. Jeżeli co otrzymamy, to mówią nam, że "*Ausnahmsweise*". Jakby uprawa roli nie leżała w interesie armii. Córka moja z przyjaciółką swoją, panną Skałkowską, zdecydowały się pojechać na wieś. Jako mówiące po niemiecku, łatwiej się z władzami porozumieją, pojedą do komendantów, uproszą, wytargują, a przebywając na miejscu, przypilnują wykonania. Łatwo to się mówi, i wygląda bardzo pięknie, że armia przez rycerskość, nie chce paniom odmawiać, i że one wszystko mogą teraz. Gdy ich prośby orał

pląg parowy w Stronibabach²⁸ przez parę tygodni, sąsiedzi mawiali z przekąsem, że w Stronibabach spódniczka rządzi, a nikt nie ocenił, ile te panienki znosiły trudów i niewygód, tak z mieszkaniem, jak i z jazdami. Za pierwszą wycieczką rozjechał im się na dwoje jedyny wóz, który posiadało gospodarstwo, zostały na gościńcu, a furman z końmi pognął dalej. Trzeba się było postarać o konie. Nie były to wierzchowce pod amazonki, ale jakieś lepsze broniaki, które dosiadały po męsku, i w tak męczący sposób, po kilkadziesiąt kilometrów dziennie ujeżdżały. Nieraz głodne, zziębnięte lub od deszczu przemokłe, dojechawszy do miasteczka, w którym gościł komendant, mogący im dać pomoc w gospodarstwie, dowiadywały się, że ten pan wyjechał, a wróci pojutrze! Więc jazda na trzeci dzień w tych samych warunkach. Często trzeba było czekać po dwie, i trzy godziny na audiencję, a po miasteczkach nie było gdzie wstąpić, by wypić filiżankę herbaty. To była pustynia. Więc chodzili po błotnistych małomiasteczkowych trotuarach tam i z powrotem, czasem nagabywane przez Żydów lub Żydówki, którzy nie mogli ukryć swej ciekawości, skąd się dwie panny w miasteczku wzięły. W jesieni 1915 doszła nas wiadomość iście hiobowa, że nasz dom w Stronibabach i oficyny, jedyne budynki, które pomimo podpalenia nie “dały się” spalić Moskałom, zostały

²⁸ Stronibaby – wieś pomiędzy Brodami a Lwowem w pow. złoczowskim.

przeznaczone na szpital dla cywilnych, chorych epidemicznie, który wojsko za frontem utrzymuje. Wyrok zapadł, żadnej apelacji! Wprawdzie rządca przypomniał sobie, że dwa tygodnie temu byli jacyś wojskowi, którzy dom oglądali, ale nie mógł wyrozumieć, co mówią, i nie przypuszczał, żeby mogli zająć dom, wprawdzie bez mebli, ale zamieszkały, choć zniszczony. Córka moja chciała apelować, ażeby obronić się od tego przymusowego zajęcia, choćby w komendzie armii, więc też wybrała się z panną Skałkowską do Brodów. Pociągi, ze strasznymi, obdartymi przez Moskali wagonami, kursowały w tamtą stronę dla wojskowych jedynie, jednak komendant stacji w Krasnem był tak uprzejmym, że pozwolił im jechać i polecił nawet konduktorowi. Ten, w swej gorliwości, podejrzewał, że jadą bez przepustek, i gdy po sześciogodzinnej jeździe (z Krasnego do Brodów są dwie stacje) dojeżdżały do Brodów, a pociąg stanął w szczerym polu, wysadził je z pociągu, ażeby oszczędzić im kontroli papierów na stacji. Znalazły się na pustyni. Przed nimi od szarugi jesiennej rozgrzęzłe pole, mokry śnieg, gęstymi płatami prószył z nieba. Szły powoli w kierunku miasta, i na szczęście spotkały babę, która im drogę wskazała. W Brodach dowiadują się, że nie ma komendanta, pojechał do Radziwiłłowa. Znajomy im rotmistrz Sokulski, niezwyklej uprzejmości człowiek, ofiarowuje ekwipaż na następny dzień z rana, by mogły do Radziwiłłowa dojechać. Muszą zatem

przenocować, ale hotele pełne wojskowych. Mają w Brodach znajomą hr. R., pielęgniarkę przy szpitalu, ale hr. R. mieszka w jednym nieopalonym pokoiku, z jednym łóżkiem i szezlongiem. Na tym wiec szezlongu, w ubraniu i podróżnych, przemokłych kożuszkach, przesypiają noc, w przekonaniu, że brak koców do przykrycia zastąpi wzajemna ciepłota, bo leżą tuż obok siebie. Co jednak może młodość. Wyspały się dobrze i choć w niewymuszonych z wczorajszej szarugi kożuszkach, w taki sam mokry, listopadowy dzień, jadą do Radziwiłowa. Z powrotem znów do nocleg w Brodach. Już się nie zastanawiają nawet nad zimnem mieszkania, ani nad rozwilgłym stanem swego przyodziewku. Spotyka ich srogi zawód, odmowa, co do szpitalu! Przed dwoma tygodniami dałoby się jeszcze zrobić, teraz już postanowione, przepadło. Ale któż mógł przypuszczać, że nas z domu wyrzucą. "Mówili przecież lekarze przed dwoma tygodniami". "Mówili, ale nikt nie rozumiał". Żeby im nie odbierać nadziei, zwrócono ich do *Sanitätschefa* we Lwowie, zanim mogły się porozumieć, ten dygnitarz już wyjechał do Wiednia. Oprócz tej sprawy jednak chciały się widzieć koniecznie z komendantem agrarnym, porucznikiem Cziki, by go o pług parowy, o nasienie, i o konie do roboty prosić.

Na trzeci dzień o szóstej rano, na czczo, bo tak wcześnie nikt by im śniadania nie podał, siadają do pociągu, który ich w sześć godzin później wyrzuca w Krasnem. Tu

musiały postarać się o konie do domu i około trzeciej po południu dopiero, blade z wycieńczenia, mogły przełknąć filiżankę gorącej herbaty. A szpital jest i trwa do dzisiaj. Ogromny park wózków czerwonego krzyża zwozi chorych z całej okolicy. Tyfus plamisty i brzuszny, ospa, szkarlatyna, dyzenteria i cholera, wszystko tam znajduje przytułek. Czasowy tylko, bo już cmentarz rozszerzyć trzeba. W domu porobili różne wstrętne adaptacje, pozalepiali i połatali zniszczone posadzki i mury. Naprzeciw okien mego niegdyś pokoju, postawili barak izolacyjny z *entläusung Anstalten*, aparatem dezynfekcyjnym etc. W najpiękniejszych zakątkach naszego ogrodu stoją brzydkie budki z różnymi napisami, a gdy słońce przygrzeje, wylęgają rekonwalescenci, w białe szpitalne koce pootulani. Rozkładają się na gazonach i zdobią klomby różnymi częściami swojej garderoby. Doktorzy – Węgrzy – dbają o swoje wygody. Mają kilka ekwipaży do wyjazdu, nawet wspaniałą karetę. W ogrodzie zjadają nam wszystko, począwszy od warzyw, które z takim trudem uprawimy, w nadziei, że to się kiedyś zmieni, skończywszy na brzoskwiniach i winogronach, których nawet pokosztować nie było nam danym. Zajęli jeszcze trzeci budynek, a ile razy dowiedzą się, że rządca jaki budynek poreperował z wielkim trudem i jako tako dachem przykrył, już są gotowi do niego się sprowadzać. Cena, którą za najem tego wszystkiego płacą jest tak śmiesznie mała, że jej nie przyjmujemy, spoczywa

tych kilkaset koron u miejscowego wójta. Podajemy do władz zażalenie, upominając się, żeby nam choć na odrestaurowanie gruntowne odpowiednią zapłacili sumę, ale wszystko to wraca do nas z odmowną odpowiedzią i z zastrzeżeniem, że szkód po Moskalach wynagradzać nie mają obowiązku, i że przeciwnie, szpital własnym kosztem dom wyrestaurował. Żadna restauracja! W miarę, jak coraz dłużej wskutek tego w mieście musimy mieszkać, i gospodarstwa doglądać nie możemy, wzrasta nasze rozgoryczenie i uczucie szalonej krzywdy nam wyrządzonej.

W jesieni 1916 roku pojechałam do Stronibab odwiedzić córkę moją, która pilnowała tam w dalszym ciągu gospodarstwa razem z panną Skałkowską. Po wyrzuceniu ich z domu mieszkały u księdza ruskiego w Ciszkowie. Zaczny ten kapłan, wraz z żoną, byli im przez ten czas jedynymi opiekunami. Jednak prawie półmilowe spacery do Stronibab, zwłaszcza na wiosnę i w jesieni, gdy błoto, były dla nich zbyt uciążliwe i przeniosły się później do tej części gorzelni w Stronibabach, której dach jeszcze pozostał. Dla mnie lokum wynalazły w chałupie wiejskiej, a baby pożyczły trochę pościeli. Dziwnie to było uczucie, pożyczać pościel od tych, którzy tyle mojej zabrali. A na to, by się do tego własnego zakątka dostać, by choć popatrzeć na te ruiny i zgłiszcza, ile

trzeba ceregieli! Paszporty wydają w policji. Urzędują tam przeważnie swoi, Polacy. Dla zasady jednak trzeba stać w tłumie Żydów i gawiedzi, ściśniętym, popychanym, w zadusze potu ludzkiego, brudnych ubrań, ordynarnego tytoniu. Może to i sprawiedliwe, że nie robią wyjątków, ale gdybyż zawsze i wszędzie tak było, to przypuszczam, że ta publiczność wyglądałaby i woniała inaczej. U drzwi stoi żołnierz, wpuszcza albo nie, czasem rozpędza, kpi sobie i żartuje, i tak się czeka godzinę, dwie lub więcej. Zdarza się, że trzeba wrócić do domu z niczem, ażeby na drugi dzień rozpocząć oczekiwanie na nowo. W końcu wciskamy się do biura. Skąd? Co za jedne? Czym się dotychczas trudniły? Co robiły w czasie okupacji? Miejscowości, choćby najbliższej Lwowa położonej, trzeba szukać na mapie. Byłam świadkiem, jak się dość porządnie wyglądające osoby obrażały, zwłaszcza, gdy żądano od nich świadectwa moralności. Prawda, że indagacje wypadały krotocwilnie, o ile dany urzędnik był w dobrym humorze, a bardzo groźnie w przeciwnym wypadku. Nam ta ścisłość protokołu dlatego wydawała się zbędną, że w Galicji całej roiło się od szpiegów, którzy byli w bardzo legalne paszporty zaopatrzeni. Po dniach kilku dopiero, w oznaczonej porze, trzeba było zgłosić się po paszport i równie cierpliwie oczekiwać, w takim jak poprzednio opisałam towarzystwie, na chwilę jego wydania. Otrzymawszy go, było się od możliwości wyjazdu jeszcze bardzo dalekim. Trzeba było

otrzymać na nim podpis w komendzie sztabu, o ile sztab przebywał w Brodach. Paszport szedł zresztą pocztą do podpisu, czekać trzeba było piętnaście, do osiemnastu dni, i dopiero gdy stamtąd powrócił, mógł iść do wizy we Lwowie w dniu wyjazdu. W drodze był co chwila potrzebny. U wejścia na stację pragnął go widzieć żandarm, do kupienia biletu konieczny, na peronie do wsiadania – po raz trzeci, potem trzeba go prezentować w wagonie, a wysiadłszy na danej stacji trzeba znów ciekawość żandarma nim zaspokoić.

A kiedy już o trudnościach paszportowych piszę, nie od rzeczy będzie przytoczyć anegdotkę o cesarzu Franciszku Józefie. Wprawdzie powstała ona w czerwcu 1916, jak łatwo z jej treści każdy odgadnie. W każdym razie nikt jeszcze nie przeczuwał, że Najjaśniejszy Pan w parę miesięcy później umrze.

Umarł cesarz Franciszek Józef, a że na tej ziemi wycierpiał niemało, zatem do św. Piotra puka rezolutnie. Wychodzi św. Piotr w pikielhaubie i przy karabinie.

- Teraz wojna! Bez legitymacji nikogo nie wpuszczamy. Paszport jest?

- Jest.

- Metryka?

- Jest.

- Legitymacja pobytu?

- Jest.

- Świadcstwo szczepienia ospy?

- Jest.

- Tyfusu?

- Jest.

- Cholery?

- Jest.

- A świadcstwo, że jesteś *Lausfrei*?²⁹

Cesarz przeszukuje wszystkie kieszenie, ale właśnie tego świadcstwa ani rusz znaleźć nie może.

- Poczekaj że tu bracie, bo ja muszę pójść do komendy zapytać, może cię od tego świadcstwa "*ausnahmsweise*"³⁰ uwolnią. Ale musi tu ktoś zostać przy furcie... - Właśnie mimo przechodzi Napoleon. – A, to i dobrze, chodź-że tu Napoleonie, drzwi pilnuj. Tam stoi Franciszek, a żeście oba byli cesarzami, to się rozmową zabawiajcie.

Cesarz Franciszek zawsze wiedział do kogo o czym mówić wypada. I tu zagał politycznie.

- Powiedz Napoleonie, jak to się stało, że ty, świeżo upieczony cesarz, wygrywałeś wszystkie bitwy, a mnie, seniora cesarzy, ciągle pobijano?

- Nic dziwnego – odpowiada Napoleon. – Ja moich generałów robiłem książętami, a ty z książąt kreujesz generałów...

²⁹ *Lausfrei* (niem.) – odrobaczony.

³⁰ *Ausnahmsweise* (niem.) - w drodze wyjątku, wyjątkowo.

Z dwóch przeciwnych krańców

Zima 1915/1916 przeszła nam na nieustannych powitaniach. Coraz ktoś z zachodu w nasze strony powracał. Przyjeżdżały z Wiednia, Pragi, Badenu, Budapesztu, Zakopanego, Krakowa rodziny całe. Wracali do swych domowych pieleszy. Jakże bolesne ich tu czekały niespodzianki. Zaczynały się opowiadania. "Jak się wam wtedy ze Lwowa jechało?" "Fatalnie". I opowiadają, jak to było w tym ścisku, jak kufry przepadły i wszystko kupować, jak ktoś tam zawieruszył się, jak ci jechali bez pieniędzy, a inni desperowali, że kogoś tam z sobą zabrać nie mogli. Cisnęli się wszyscy, nawet w wagonach bydłowych. Jakie były perypetie, gdy pociąg w drodze stanął, a wysiadać nie było wolno i nie było co jeść. Jak ktoś tam za pociągiem gonił, a pociąg stanąć nie chciał etc. etc.

A co w Wiedniu? Żle. Najpierw – nie cierpią Polaków. Za co? Bo im miejsce zabrali i objadali ich. Zmiłujcież się. Toż ci, którzy tam jechali, byli bogaci. Wywieźli z kraju razem co najmniej kilkanaście milionów, ażeby je tam ulokować! Nic to, bo i tak pieniędzy mają dosyć. Ogromne porobili majątki. Tylko żyć tam ciężko, o mąkę było trudno. Pieczywa nie wypiekali, tylko chleb kupowaliśmy. Najwięcej szkodzili nam

Żydzi. Ci sami, którzy tutaj, na ulicy Karola Ludwika, mówią stale po niemiecku, tam udawali Polaków, a zachowując się ze zwykłą arogancją, doprowadzili do tego, że wiedeńczycy, nie umiejąc rozeznaczyć różnicy między Polakami, a "Polakami", nienawidzili wszystkich. Ochrzcili wspólnie mianem "Flüchtlingów"³¹.

Były restauracje, kawiarnie, w których na szybach przylepiono napis: *den Flüchtlingen eintritt verboten*. Na każdym kroku wymawiano im jako łaskę, że tu przebywać pozwalają. Biedniż my, biedni! Tu nas niszczą, palą, rabują, tam nawet przytułku dać nie mają ochoty! Podobno, gdy ciasnota w pomieszczeniach doszła do zenitu, wiedeńczycy poszli skarżyć się Najjaśniejszemu Panu, miał im odpowiedzieć: "Jeżeli wy ich nie pomieścicie, to ja pałac w Burgu zostawiam do dyspozycji". Pięknie to brzmi, niczego innego nie można się było spodziewać od wielkodusznego monarchy, ale mogła nas boleć ta pogarda jego właściwych poddanych. Gdyby im tak Wiedeń, albo choćby kilka innych miast w Austrii zniszczyli i popalili Moskale, nauczyliby się lepiej współczuć nieszczęściu bliźnich.

Największy był kłopot, gdy ci powracający obejrzeliby swoje zrabowane pomieszkania, albo zniszczone na wsi domy i gospodarstwa. W pierwszej chwili rozgoryczenia – ludzie są

³¹ *Flüchtlingerzy* (niem.) – uchodźcy. *Den Flüchtlingen eintritt verboten* - uchodźcom wstęp wzbroniony.

zawsze ludźmi – nie mogli ukryć żalu i do pozostałych tu, pretensji. “Jak mogliście pozwolić, żeby nas tak niszczone?” “Chodźcie patrzeć jak jest u nas” – odpowiadamy. “Jakże mogliśmy bronić waszego, kiedy swojego nie obroniliśmy. Chyba nie wiecie, co się u nas działo.” I dalejże opowiadać. A do opowiadania mieliśmy dużo nierównie więcej ciekawych rzeczy.

Równocześnie prawie, ściągali do Lwowa ci, którzy później od najazdu rosyjskiego zostali uwolnieni. Nie było ich wielu, ale przeważnie wszyscy z naszych stron, więc znajomi. Ci nam znowu swoje przejścia opowiadali, a było czego posłuchać. Na przykład sąsiadka nasza, młoda mężatka, gdy mąż jej wyjechał kryć się po lasach, by go Moskale nie wywieźli, schroniła się z dwoma synkami do malutkiej ekonomii. Że to jednak było miasteczko, ciągle jej składali wizyty rosyjscy oficerowie. Pukali do okna, by im otworzyć, lub też otworzywszy je sobie, sami z zewnątrz, sadowili się nieproszeni w jej pomieszkaniu. Nadrabiała miną, starała się nie stracić przytomności, choć się bardzo bała i dzięki temu wizyty te wypadały foremnie. Aż raz, nieszczęście przyniosło jakiegoś mocno podpitego oficera. Usiadł sobie na kanapie i zaczął prawić komplementa, zalecając się przy tym dość natarczywie. Nawinął się na szczęście dwuletni Staś, jej synek, pochwyciła malca i usadowiła go sobie na kolanach. Dziecko, jakby przeczuwając kłopot matki, siedziało spokojnie przez

całą godzinę, mimo że jak iskra był zwykle żywy ten chłopuś. Dopiero wtedy zeskoczył z kolan, gdy jacyś wojskowi przyszli odwołać tego pijaka. Po tej próbie zdecydowała się zamieszkać w większym ukryciu, zwłaszcza że i walki zbliżały się, więc od strażów trzeba było się zabezpieczyć. Zajęła obszerną piwnicę, z dwóch izb złożoną. Przeniósłszy się tam z dziećmi, nie wychodziła już wcale, bo mąż z przeczności kazał tam kuchenkę postawić, przeczuwając co ich czeka. Przez tydzień miała względny spokój. Odwiedzin więcej nie było. Na dwa dni jednak przed cofaniem się wojsk rosyjskich, Moskale zaczęli przeszukiwać wszystkie zakamarki, i o dziesiątej wieczorem przyszli dobijać się do jej piwnicy. Chwyliła zapaloną na stole lampę i podchodząc ku drzwiom, zapytała pewnym głosem, choć zęby szczykały jej z przerażenia:

- Kto tam?

- *Eto kozaki. Chatielib pasmatriet, nema li tut Austrijaciw?*

- No to chodźcież popatrzeć.

Poprowadziła ich do dwóch sienniczków, na których spali jej synkowie.

- Macie tylko takich Austriaków.

- *A szto wy blednaja taka?*

- Bom słaba – odpowiedziała krótko.

- *A szto wam?*

- To was nie obchodzi. – i nie puszczając lampy z ręki odprowadziła ich do drzwi.

Spokój i odwaga wobec kozaków były najbezpieczniejszym sposobem oneśmielenia ich. Jednakże taki kilkakrotny wysiłek i napięcie nieustanne nerwów, przyprawiły później naszą sąsiadkę o ciężką chorobę.

Państwo Łoboziowie, którzy jeszcze dłużej pod nahajką rosyjską przebywali, byli bardzo niespokojni, że im ich prześliczną stadninę do Rosji uprowadzą. Litwin jeden, w wojsku rosyjskim służący, zaproponował pani Łoboź, że zawczasu zabierze do siebie na Litwę dwanaście stadnych kłaczy, za które zapłaci 12000 rubli, a równocześnie wystawi rewers, że po wojnie będzie mógł pan Łoboź za tę samą sumę swoje kłacze odebrać. Są jeszcze zacni ludzie na świecie! Panią Łoboź co dzień przy obiedzie bawili francuską rozmową jacyś Gruzini, czy Georgianie. Dziwnego doznawała wrażenia, słuchając tych opowiadań, nieraz i osobistych zwierzeń, takich młodych, a w swoim rodzaju dobrze wychowanych chłopców. Jeden z nich pokazywał jej i tłumaczył list od matki, świeżo z poczty otrzymany. Zapamiętała jeden urywek:

Ale kiedy już tam jesteś, i bić się musisz, to nie zapominaj też o tem, że zginać możesz, nie zapominaj o swej duszy. Módl się co rana i wieczora i chroń się złego. Wiem ja, że na wojnie dzieją się rzeczy straszne, bywają rozboje,

morderstwa, i krzywdy. Gdy tam, do tych zdobytych krajów dojdiesz, pamiętaj, nie zabieraj niczego, nie krzywdź tych biednych ludzi. Ja tu się za ciebie synu modłę, by Bóg nie tylko twe ciało chronił, ale i duszę twoją zbawił. Każda krzywda, każda łza z twej przyczyny wylana, zaciężyłaby mi w grobie. A jakże by mi przyszło stanąć przed Bogiem i powiedzieć, oto ten syn, którego na chwałę Twoją w bólach rodziłam, cnót uczyłam, zapomniał o Tobie, ludzi krzywdził, majątność im niszczył, cudze dobro sobie przywłaszczając.

Prawdopodobnie Gruzin czytał to naumyślnie, żeby panią Łoboź przekonać, że w wojsku ich, nie tylko rabusie służą. W każdym razie tam, w zakątku Kaukazu, mieszkają ludzie, którzy umieją rozeznąć złe od dobrego, mają swój kodeks na prawach zumienia oparty, a nie wyszukują nowych praw, które na poczekaniu umieją różnie nazwać.

Pomiędzy powracającymi z Wiednia były też osoby, które bliżej się stykały z biedakami, tutejszymi, pomieszkującymi w barakach. Byli to rzemieślnicy, robotnicy, niższa służba kolejowa, wszystko ludzie niezamożni, którzy z dobrej woli lub przymusowo wyjechali. Główny obóz tych uciekinierów był w Choceniu. Stosunki tam miały być fatalne, mieszkali w drewnianych budach, deski ścian nie sięgały powały, płótno żaglowe zastępowały drzwi, więc zimno nie do wytrzymania, ciasno, brudno, że i w niejednej stajni stokroć byłoby lepiej. Dzieci marły, grasowały tam różne epidemie.

Wprawdzie jeździły różne komisje dla lustracji, ale zawsze uprzedzały o swym przyjeździe, więc pod tę porę zaprowadzano ład, jaki taki, ażeby potem do dawnego niechlujstwa powrócić.

Utworzył się komitet pań, który co dzień oczekiwał ich na kolei. Dawano im strawę ciepłą, by mieli siły szukać tutaj przytułku i zajęcia. Powstała też instytucja zwana "szatnią". Celem jej było ubrać przybywających, którzy byli bardzo obdarci, zwłaszcza dzieci litość wzbudzały brakiem odzieży w tę chłodną jesień. Prawie wszystkie były bose, a że skór już był brak wielki, dawano im buciki o drewnianych podeszwach, które o bruk miejski oryginalnie stuknęły. Opowiadano anegdotkę o pewnym austriackim oficerze, który usłyszawszy to człapanie, orzekł, że nareszcie spotkał *"die einzige Sache, welche in Österreich klappt"*.

Ubierano w tej szatni wszystkich, bez różnicy wyznania. Część rzeczy dawało miasto, dużo dawał Komitet Biskupi, który na to otrzymywał fundusze ze składek Sienkiewicza i Paderewskiego w Szwajcarii, a resztę składali majątniejsi, oddając swoje stare ubrania. Było z tym trochę biedy, trzeba było dezynfekować, a potem naprawiać, zwłaszcza bieliznę. Do tych napraw schodziły się panie i panny z towarzystwa, trzeba przyznać, że do każdego uczynku miłosierdzia chętnie rękę przykładają. Czasem było więcej dobrej woli, niż uczynku, bo nie wszystkie szyć umiały, ale prędko tę sztukę

posiadły, i niezawodnie im się teraz przyda, kiedy wszystko tak drogie, że każdą rzecz naprawiać trzeba.

Katastrofa pod Łuckiem³²

Lato 1916 spędziłam na wsi. Radziłam sobie jak mogłam, żeby zniszczenie domu i ogrodu tak bardzo przykrego nie robiło wrażenia. Na wiosnę rozpoczęła się ofensywa we Włoszech i postępowała dla Austrii korzystnie. Nas jednak niepokoiła dziwna cisza na froncie wschodnim. Syn mój siedział już od marca w okopach, gdzieś aż na Wołyniu, i myśl o tym, że on na różne niebezpieczeństwa narażony, przytępiła w nas uwagę na rozmaite prądy i zdarzenia w polityce. Gdy otrzymał jednodniowy urlop, przyjechałam żeby go zobaczyć. Wyrósł i zmężniał. Zaprezentował nam też srebrny medal, który otrzymał za nocną wyprawę przez Skwę. Szło o zbadanie linii okopów, i o ile by się dało, przecięcie drutów przy stanowiskach nieprzyjacielskich. *Ein wahrer Blödsinn*³³ powiedział mu jego przełożony, gdy się dowiedział, że idzie na ochotnika. Skwę

³² Bitwa pod Łuckiem (04.06-10.07. 1916 r.) – zwana też kampanią Brusiowa. Atak Rosjanie poprowadzili na linii: Łuck – Tarnopol – Czerniowce. Do 20.06. wzięli ok. 200 tys. jeńców. 28 lipca następnie – po sukcesach na Węgrzech i w Rydze – zajęli też i Brody.

³³ *Ein wahrer Blödsinn* (niem.) – prawdziwa głupota.

wraz z wachmistrzem przepłynęli łódką, a korzystając z ciemnej, mglistej nocy zsunęli się po ziemi wzdłuż linii okopów. O przecinaniu drutów nie było mowy, bo moskale zaczęli gęsto strzelać, więc rozejrzawszy się w położeniu, ruszyli wplaw z powrotem do swoich. Zmartwiło mię to opowiadanie. Widzę, że wojna to nie żarty, i że przy względnej ciszy jeszcze różne bywają niebezpieczeństwa. Opowiadał też, jak dnie mijają w okopach. W czasie spokoju moskal prowadzą rozmowy, przysłuchują się ich gramofonowi, śpiewają swoje pieśni. Żołnierze wymieniają między sobą różne artykuły, za wódkę dostają papierosy i tym podobne. Czasem, gdy wódki za mało, lub w ogóle przetarg nierówny, zaznaczają swe niezadowolenie strzelaniem. Naturalnie że i po tej stronie płacą pięknym za nadobne, i na jakiś ententa zerwana. Po jakich dwóch dniach słyszą znowu nawoływania:

- *Austryjaci! Hej! Austryjaci.*

- A czego tam?

- *Pandit sinda, do nas.*

- Czort was bierz! Czemu wy tu do nas nie przyjdziecie?

- *U was chliba niet.*

- Nam tu lepiej, jest wódka.

- *Pandit sinda, uwiditie, widoczki jest, papyroski, skolko choczet.*

Dzwonek telefonu.

- A co tam za gadanina na froncie? Cicho być.

Czasem rano skoro świt idzie moskal z wielkim wiadrem po wodę do rzeki. Idzie w bród głęboko, chce sobie twarz umyć przy tej sposobności. Ktoś po tej stronie przetarł oczy i pał! Ale bezskutecznie. Moskal rzuca wiadro i zmyka klnąc niebывałymi słowy. Z brzegu jeszcze wygraża pięściami.

Strasznie nam przykro było wtedy syna żegnać. Wróciwszy na wieś postanowiłam sobie nie myśleć o niczym, tylko modlić się i pracować. Cóż, kiedy wojna zapominać o sobie nie pozwoli. W parę dni później, wzmożony huk armat drgał w przestrzeni do tego stopnia, że przechodził w grzmot nieustający. Coś złego tam się dzieć musi! W każdym razie straszna jakaś bitwa toczy się niedaleko. Wszyscy tłumaczyli mi, że ten huk idzie więcej od północy, i ja wciąż sobie powtarzałam, że nie każda armata kieruje swój pocisk w stronę okopów koło Poczajowa, gdzie przebywa młodzieniec, w którego istnieniu dwoje starych ludzi widzi jedyną dla siebie pociechę. Zaczęłam zbierać i pakować rzeczy, dawałam różne rozporządzenia służbie, na każdy wypadek lepiej było przygotować się. Wyjeżdżając pootwierałam wszystkie szafy ze starymi sukniemi, z góry je już na żer dla kozaków przeznaczając. Zwróciło moją uwagę, że służba niższej kategorii, jak dziewczki folwarczne, stary stróż, patrząc na te przygotowania jakoby już na wejście moskali, mają miny

arcyżadowolone, udzielają sobie nawzajem wesołej nowiny, że “pewno *wże naszymy przyhodiāt*”.

W drodze powtarzałam sobie nieustannie, że żadnej wiadomości we Lwowie nie zastanę, gdyż przy jakichkolwiek ruchach wojsk, poczta nie polowa nie kursuje. I o dziwo zastaję kartki, które syn co dzień wysyła, wiedząc że będziemy się niepokoić. Z tego frontu przyjeżdżają też czasem wojskowi. Młody Sołowij – kolega mego syna, zapewnia mię, że tam spokój, że syn zdrów, tylko nogę sobie wykręcił i przez parę dni wzięli go do sztabu na odpoczynek. Młodzi ludzie uważali sobie za obowiązek uspakajające tylko szerzyć wieści, bo właściwie z tą nogą było trochę inaczej. Szrapnel padając zawałił im ziemiankę, syn mój i jego służyący zostali zasypani ziemią. Mój syn, gdy się ocknął, usłyszał rozpaczliwe wołanie Jarosza – “Czy pan Fährnich³⁴ żyje, bo ja już nie”, a siedział pod jakąś ławką, która go od jakiegokolwiek uderzenia ochroniła. Z panem Fährlichem było gorzej, bo belka spadła mu na nogę, szczęśliwie, że kości nie zdruzgotała. Musieli na dach wyszarpywać się z ziemi i uciekać stamtąd, gdyż okop był otwarty i na strzały bezpośrednio narażony. Ten wypadek jednak był powodem plotki, i w Krakowie głośno opowiadano, że nasz syn zginął w okopie. Dostałam nawet stamtąd kartkę z

³⁴ *Fährnich* – w c. k. armii odpowiednik chorążego.

kondolencją, ale wobec trawiącego mię ciągle niepokoju, żadnego na mnie nie zrobiła wrażenia.

Wobec tego, że tamten front spokojny, namawiają mnie, żeby prosić o urlop dla niego. Kolega syna i krewny nasz – Minio R. – zaklina mnie wprost o to. Ależ on nie chciał urlopu! Któż by o to pytał, już on zechce, byle go dostać! Paszporty mamy, wybieramy się z młodszą córką do Brodów, bo tam komenda. Na trzeci dzień wyjeżdżamy o szóstej z rana. Współpodróżnych niewielu, na kolei patrzą na nas dziwnie. *“So, nach Brody wollen Gnädige?”* Pyta żandarm. Pociąg idzie powoli, około jedenastej stajemy w polu. Zabrali nam lokomotywę, na coś była potrzebna. Zaczyna mi się to nie podobać. Po godzinie wróciła, ruszamy. Około pierwszej wysiadliśmy w Brodach. Dziwnie skwarny był dzień. Z kolei do hotelu trzeba było iść pieszo, bo tych kilka fiaków zabrali wojskowi. Pokrzepione jakim takim obiadem, idziemy do pp. Schnellów, znajomych nam. Chcemy się poradzić, jakby się dostać do komendy. Pan Schnell dobry i uczynny człowiek, gotów nam towarzyszyć, ale Ekscelencja będzie w kancelarii dopiero koło czwartej po południu. W międzyczasie, idziemy do prywatnego mieszkania Ekscelencji. Może nam się uda tam uzyskać audiencję. Rozmawiamy z jego służącym. Jeszcze Ekscelencja nie powrócił z poobiedniej przechadzki, gdy nadejdzie, da nam znać. Siedzimy na ławkach publicznego ogrodu, czekamy, ale już czwarta dochodzi, widocznie poszedł

wprost do komendy. Idziemy tam. Pan Schnell zna adiutanta hr. Würmbranda³⁵. Młodziutki, o bardzo regularnych rysach twarzy, hrabia. Odpowiada, że to bardzo wątpliwe, żebyśmy mogły uzyskać posłuchanie, ale pójdzie się dowiedzieć. Po dziesięciu minutach wraca, mówiąc że Ekscelencja bardzo zajęty, ale generał Bardolff³⁶ gotów nas przyjąć. Generał ma twarz surową i jowialną zarazem, przyjmuje nas bardzo uprzejmie, zapisał dla mego syna sześć tygodni urlopu. Ale kiedy? Czy teraz? O nie! *Jetzt ist Schlacht, so in einer Woche*. Z tym odchodzimy. Wyszędłszy uważamy, że w tym cichym miasteczku zaszło coś dziwnego. Turkot wozów, świst automobili, jakiś szalony pośpiech i niepokój. Widzimy, jak z okien mieszkań wyrzucają oficerowie popakowane kufry. Automobile podjeżdżają, żeby je zabierać. Trąbienie, wołanie, ruchy wszystkich przyspieszone.

Córka moja poszła odwiedzić hrabiankę R., swoją znajomą, a ja do hotelu odpocząć, ale hałas uliczny nie pozwalał spać. Siedziałam przy oknie i patrzyłam. Jak w wielkim mrowisku, uwijali się Żydzi na wszystkie strony, zbiegali się w gromadki, które policjant rozpedzał, naradzali

³⁵ Hrabiowie Würmbrand zu Stuppach. Znany austriacki ród arystokratyczny.

³⁶ **Carl Freiherr von Bardolff (1865-1953)** – austriacki generał, był adiutantem arcyksięcia Ferdynanda i naocznym świadkiem zamachu w Sarajewie. W czasie I wojny św. walczył na froncie galicyjskim. Po wojnie odznaczony i awansowany na feldmarszałka. Od 1938 r. czynny w organizacjach nazistowskich: najpierw w SA, następnie w NSDAP.

się pod oknami, w sieniach domów. Niektórzy płakali i zawodzili. Środkiem ulicy jechały wozy z amunicją, mnóstwo oddziałów piechoty z karabinami maszynowymi, wózki, wózczyki, różnego rodzaju autoramentu. Przed mieszkaniem Eksceleńcji i pod komendę zajeżdżają wozy ciężarowe. Pakują tam na gwałt, bo sztab wyjeżdża do Lwowa. Z bocznej ulicy przejeżdża oddział dragonów w pełnym rynsztunku, widocznie jadą wprost na plac boju, w ostatnich szeregach zdaje mi się, że widzę postać znajomą, nie tyle twarz, ile blond włosy i kołnierz popielaty przypominają mi Zdzisława, bratanka mego męża. Ale to przywidzenie, wszak tamten przy ułanach służy! Córka wróciła z wiadomością, że wszystkie pielęgniarki spakowane, została panną R. siedzącą na kuferkach. Wyjeżdżają nocą. Pojedziemy i my z nimi, ale tymczasem zaproszone jesteśmy na kolację do państwa Schnellów.

Kto nie znał tych wzruszeń, jakich ludzie doznają w chwili ważnych zdarzeń przy tak bliskim froncie wojennym, ten sobie wyobrazić nie potrafi, jak się czuje, myśli, mówi, gdy taki miecz Damoklesa wisi tuż, tuż nad głową. Co kwadrans wywieszano nowe wiadomości z placu boju. Syn państwa Schnellów chodził czytać, by nam donosić, a my rozmawialiśmy niby spokojnie, robiąc najgorsze

przypuszczenia. Nie zastanawialiśmy się nad tym, jak to będzie? Ani co się stanie? Widzieliśmy dokładnie jak wygląda wkroczenie armii rosyjskiej wprost z pola walki. Pani Schnell opowiada, jak przed rokiem trupy Żydów leżały przed ich oknami. Kwestia tylko – przyjdą czy nie? Ja chodziłam po pokoju i miałam ochotę tłuc głową w mur, bo jeśli przyjdą, to mój syn pociągnie z wojskiem na zachód, i nawet wiedzieć nie będziemy, co się z nim dzieje. W parę miesięcy później przyszli rzeczywiście, ale tylko do Brodów, i państwo Schnell mieli czasu dosyć na zebranie się i pojechanie do Wiednia, ale przymusowe, bo ich ewakuowano.

Chciałyśmy pójść wizować paszporty. Biuro zamknięte. Przed drzwiami tłumy Żydów desperatów, bo paszportów otrzymać nie mogą. Czyż można się Żydom dziwić? Żaden z nich w razie wkroczenia wrogiej armii, życia nie może być pewny. Koło dziesiątej wieczorem, własnym ekwipażem, odstawiają nas państwo Schnell na kolej. Syn ich kupuje nam bilety i pozostawia własnemu losowi, a ten los nie jest do pozazdroszczenia. W wąskim korytarzu prowadzącym do wyjścia na peron, morze głów żydowskich. Tysiące pierzyn, tobołów, mazgające się bachory. Stoimy twarzami zwróceni do drzwi, poza którymi żandarm paszporty ogląda. Ale drzwi zamknięte. Pociąg stoi, czeka. Stoją tam także pociągi wojskowe, które w stronę zagrożoną, na wschód podążą. Od czasu do czasu przeciskają się przez nasz tłum

żołnierze, rozpychając nas i potracając niemiłosiernie. Przewija się też czasem jakiejś wyższej szarzy oficer. Zmęczone tym ścisaniem i przydługim stanem, rozglądamy się, jakby sobie poradzić. Córka moja dostrzegła z daleka hr. Dominika Potockiego³⁷ w mundurze, przeciska się też przez nasze tłokowisko. Nie znając go osobiście, podchodzimy do niego, przedstawiamy się i prosimy, czy by nie mógł nam pomóc w dostaniu się do wagonu. Chciałby, ale musi się spieszyć do swego pociągu, który już odjeżdża. "Niech panie dworzec obejdą dookoła i tamtędy starają się trafić do żandarma, może puści". Idziemy. W hali natykamy się na pułki, które prosto z pola powróciły. Żołnierze leżą na ziemi. Twarze zmęczone, czarne od kurzu. Inni chodzą z miną tak zniechęconą i bezbrzeżnie smutną, że jakaś groza od nich wieje. Palą papierosy, klną, spluwają. Żal ich, ale sympatii nie wzbudzają takie dzikie, na wszystko zdecydowane twarze. Stoją też małymi grupami urzędnicy kolejowi, coś sobie opowiadają, szepczą na ucho, ale aż straszno zgadywać, co sobie mówią. Nareszcie obeszliśmy dworzec. Nie tak to łatwo dotrzeć aż do samego żandarma. Stoi "post" i nie puszcza. Prosimy, przedstawiamy, odwołujemy się na hrabiego Potockiego. Nie wolno, wracamy do naszych Żydów. W końcu otwarto podwoje. Powoli postępujemy, żandarm przegląda

³⁷ **Dominik hr. Potocki (1877-1939)** – syn Stanisława (założyciela uzdrowiska w Rymanowie-Zdroju) i Anny z Działyńskich.

papiery po kolei. Odesłał Żydów desperatów, którzy chcieli jechać na zwykłą legitymację. Znowu lament, dostajemy się do wagonu. Pomimo dwunastej w nocy, upał nie do zniesienia. W przedziale oprócz nas siedzi jakaś panienka, która pracowała w kancelarii agrarnej dóbr p. Schmidta. Teraz już nie potrzebna. Żydówka z Rumunii, która ciągle desperuje, że pościeli i pierzyn nie wzięła ze sobą. Jakiś urzędnik dość przyzwoicie wyglądający i "cywilizowany" Żydek, który jedzie do Lwowa na jeden dzień, ażeby powrócić po żonę i zabrać ją do "nwe Wiednia". Każdy biada nad wyjazdem, opuszczaniem domu, pozostawionymi rzeczami. Dziwni jacyś ludzie, że im tyle pozostało rzeczy do stracenia. My z córką stanowimy wyjątek, w razie wkroczenia moskali, pozbywamy się szpitalu z domu, a te wszystkie bakcyle, które tam zostaną, niech goszczą, choćby najdzikszą hordeę Czeczeńców. Trochę rozmawiamy, bo w takich chwilach rozmawia się i z nieznajomymi, drzemiemy też, i tak mija noc. Około szóstej z rana stajemy we Lwowie. Lekka burza nad ranem ochłodziła atmosferę, zresztą w ogóle swobodniej się oddycha, nie widząc tego popłochu i trwogi, która się nam udzieliła. Tutaj powoli dowiadujemy się, że pod Łuckiem poddało się 240000 naszego wojska. Linia frontu miała być na ogromnej przestrzeni przełamana, ale Prusacy przerzucili prędko swoje wojska i wypchnęli atakujących. Wściekli byli podobno, że niczego innego nie żądali, tylko pilnowania frontu, a moskale

musieli wiedzieć, że arcyksiążę wyjechał na polowanie i przypuścili szturm w najdogodniejszym miejscu. I my – zaściankowi politycy – jesteśmy oburzeni. Nie tyle na arcyksięcia, że wyjechał na polowanie, bo czegoż się można było po nim innego spodziewać, ile na Konrada Hótzendorfa³⁸, że parł do tej ofensywy włoskiej. Podobno dużo wojska ze wschodniego frontu zabrał, i w ogóle mówił, że go wschodni front mało obchodzi. Teraz i tam będą się cofać.

Gorycz nasza znalazła wyraz w anegdocie, którą tu przytaczam:

Umarł Hótzendorf i “jak stał” udał się do nieba. Puka śmiało.

Otwiera św. Piotr

- A to Hótzendorf, i owszem, ale czemuż taki bosy i obdarty?

Tak niemożliwie stawać przed niebieskim areopagiem.

- Święty Piotrze wojna! W kraju była bieda...

- Co bieda? O tej biedzie pomówimy z wojskowymi dostawcami. Tymczasem ruszaj na ziemię po stosowniejszy przyodziewek. Marsz!

Ale Hótzendorf na ziemię nie powróci! Nic tam nie wskóra, zresztą bardzo gęsto strzelają. Błąka się smutny po ścieżkach do nieba wiodących. Widzi z daleka, że idzie Hindenburg.

³⁸ **Franz Conrad von Hótzendorf** (1852-1925) – Feldmarszałek i Szef Austro-Węgierskiego Sztabu Generalnego. Faktyczny i rzeczywisty dowódca armii austriackiej.

Biały płaszcz z czarnym krzyżem na ramię zarzucił, skrzypią nowe buty, dzwoni ostrogami.

- A ty tu co robisz Konradzie? Jak to? Nie puścili cię?

Hótzendorf opowiedział jak było i dlaczego go precz wyrzucili.

- Nie tak to łatwo tam się wcisnąć – zakończył.

- Zobaczymy – mówi Hindenburg. – Dobrze, że jestem w pełnej zbroi.

Westchnął Hótzendorf nad smutną dolą swoją. Jakże się jednak zdziwił na widok powracającego z rzadką miną Hindenburga.

- Cóż tobie mieli do zarzucenia? – pyta nieszczęsny Konrad.

- Kazali i mnie wracać na ziemię. Taki wielki generał – mówią – a piechotą tu przychodzi! A wstyd! Wracaj zarazo konia! - Gdzież ja teraz konia znajdę?

- wiesz co bracie! – mówi Konrad uderzając się w czoło. – Mam sposób, tobie zrobię przysługę, a i sobie pomogę. Siadaj na mnie, ja pójdę na czworakach, to może staruszka furtiana oszukamy.

Podobał się fortel Hindenburgowi. Siadł koledze na karku, wspinają się powoli do nieba. A Święty Piotr z daleka już dzwoni kluczami i za boki się bierze od śmiechu.

- Człowieku – woła – toż ja ci kazałem konia dosiąść, a ty mi tu na ośle chcesz wjechać.

Tę samą anegdotkę opowiadają trochę odmiennie:

Do bram nieba po tych samych przygodach miał wjechać Wilhelm na cesarzu Franciszku. Gdy Święty Piotr osiołka takiemu jak Wilhelm rycerzowi wypomniał, tenże miał odpowiedź gotową:

- Wszak sam Pan Jezus na osiołku wjechał do Jerozolimy.

- Tak jest, ale Pan Jezus całe życie na osiołku jeździł.

- I ja też już dawno, bo od 1866 roku osiołka używam...

Minęło parę tygodni. Zdawało mi się, że już sytuacja wyjaśniona, idę znowu do komendy prosić o urlop dla syna.

I znów mię przyjmuje generał Bardolff: *“aber meine Kinder, Sie ist noch Schlacht”*. Czuję desperacką rezygnację.

Bawi we Lwowie brat mego męża, ojciec tego Z., o którym wspominałam, że mi się w Brodach wśród dragonów przywidział. Wypytuje mnie o syna, o wyprawę przez Skwę. Pyta, czy otrzymujemy kartki od niego. Pokazuję wczoraj otrzymaną, ale robi mi się okropnie przykro, gdy mówi, że od swego już dwa tygodnie słówka nie otrzymał. Tu bowiem opowiadają, ale ja myślałam, że to plotka, że Z. przydzielono rzeczywiście do pułku dragonów, że na pierwszym patrolu, do którego przyłączył się na ochotnika, obskoczyli ich w lesie moskale, dragony uciekli, a Zdziś spadł w ich oczach z konia, prawdopodobnie zabity. Znalazł się nawet żołnierz, który opowiadał, że brał udział w pogrzebie, że pochowano go koło

Sokala. Tymczasem brat na kolei w Rawie usłyszał plotkę, która się była w Krakowie rozeszła i dla tego o naszego syna wypytuje. Przychodzi drugi jego syn, Marian, brat starszy Zdzisława, bardzo oględnie, powoli, mówi, że zdaje się, że Zdzisław dostał się do niewoli. Milczymy wszyscy jakiś czas, ażeby ciszę przerwać zrobiłam uwagę.

- Czy to możliwe, żeby żołnierze odbiegli oficera, choćby rannego. Zdaje mi się, że nie powinni byli uciekać?

- Cóż można żądać od takich czeskich chłopów – powiedział brat spokojnym głosem. – Gdyby choć był z ich pułku, ale takiego obcego przybysza! Oni o swoją skórę dbali!

Miałam rzeczywiście budujący wzór. Jak nigdy nie powinno się wpadać w zwątpienie lub podawać przygnębieniu. Brat najspokojniej w świecie podyktował mi telegram po francusku do swojej znajomej w Rumunii, prosząc by doręczyła jego synowej w Kijowie, ażeby szukała i dowiadywała się we wszystkich szpitalach, czy nie ma tam rannego Z. W kilka dni później przyszła wiadomość telegraficzna: "*Z. graverment blesse, mais il vivera*"³⁹. Bogu dzięki, że żyje. ale jak dziwne są zrzędzenia opatrności Boskiej. Nad wyjazdem żony rozpaczął mąż jej. A brat Z. Gdyby nie jej tam obecność, to ani rodzice nie wiedzieliby co się z synem stało, ani Z. nie byłby miał tak troskliwej opieki.

³⁹ *Graverment blesse, mais il vivera* (franc.) – poraniony okrutnie, ale będzie żył.

Był bardzo ciężko ranny bo kula przeszła przez obydwą płuca, tak że przez parę tygodni miał jedną połowę ciała sparaliżowaną. Obdarli go przy tym Moskałe z ubrania, i gdyby nie pomoc bratowej, nie byłby miał w czym, ani o czym, przebywać ciężkich chwil niewoli.

Wiadomość o zaginięciu i niemożności odszukania Zdzisława przyszła z pułku do rodziny wraz z listem pochwalnym dla jego zalet i medalem, dużym, srebrnym za waleczność. Jakże szczęśliwie się złożyło, że list ten ani przez chwilę nie był pociechą po zaszłym fakcie, tylko radosną wieścią, którą synowi można na pociechę w jego doli przesłać.

Zaledwie pierwszych dni lipca doczekaliśmy się przyjazdu syna. Otrzymał kilka tygodni urlopu. Ale jakież zmieniony, przygnębiony i smutny. Nie opowiadał nic o swoich przejściach. W ogóle mówił mało. Po kilku dniach dostał gorączki i jakiejś uporczywej grypy, na którą przeleżał prawie cały czas urlopu. Wielu jego towarzyszy odchorowało również to szalone naprężenie nerwów i nadludzkie prawie wysiłki, jakich od nich wymagano. O ile powoli udało mi się wybadać, to najwięcej dały mu się we znaki nieustające przez trzy tygodnie ataki Moskali. Były w tym strzały karabinowe, ręczne miny, karabiny maszynowe i szrapnele. Pozycja ich była na wypukło wygiętym łuku, więc ataki były z trzech stron, a ruszyć się stamtąd nie było wolno

“um keinen Preis”, gdyż zasłaniali odwrót całej armii, więc mieli stać choćby do ostatniego zginęli. Nieustanne, moskiewskie *“hurra”* z trzech stron. Śmierć wokoło, upadające rozćwiartowane, drgające członki ciała, na ziemi leżąca głowa człowieka, z którym się dopiero co mówiło. Krzyki i jęki rannych, głośne modlitwy zrezygnowanych. Na ostatek nocą rozkaz odwrotu. Pałą wszystko, co było trudniejszym do niesienia, więc pozbawieni są najniezbędniejszych, a drogich rzeczy. Marsz forsowny nocami. Z całej kompanii zostało ich ledwie kilkudziesięciu, i to są tak strasznie wyczerpani, że prawie nie ma siły zmusić prostego żołnierza do powstania, gdy usiądzie. Oczy w słupek, usta otwarte, jak u zgonionego zwierzęcia. Obojętni na wszystko. Na dobitkę nieprzyjacielska armia następuje, i raz muszą stawić jej czoło. Każdy, nawet oficerowie, mają przy boku krótkie, ostre łopatki. W szkole jeszcze uczono ich wkopywać się jak najszybciej na tempa w razie ataku nieprzyjaciela. Tam trwała ta robota 10 do 20 minut, gdyż rękoczynny te trzeba wypełniać leżąc na boku. Tutaj, wśród świstu kul, każdy był w przeciągu pięciu minut wkopany. Co może bojaźń.

Słyszałam od ludzi odważnych, którzy w tej wojnie wiele odznaczeń za odwagę otrzymali, że w chwilach jak największego naprężenia nerwów, bojaźń, zupełnie dziecinna bojaźń, ogarnia cały umysł. To też ci młodzi, co to nieraz *“nic*

sobie z niczego nie robili” zmieniają się do niepoznania i cienia rezonerstwa lub blagi już się u nich nie spotka. Niepoprawną optymistką jestem, ale mam wrażenie, że ten chrzest krwi wykuje silniejsze charaktery u naszych młodych, wzmocni i pogłębi uczucia religijne. W tych warunkach dzieciaki szybko stają się mężczyznami, a rysem charakterystycznym u każdego prawie, to ogromne przywiązanie i tęsknota za domem rodzinnym.

Wyjątkowe usposobienia, z natury lekkomyślne, potrafią nerwy czy opanować, czy też nie zdawać sobie sprawy z grozy położenia. Są to urodzeni żołnierze. Co w głębi serca czują, to już ich tajemnica, jednak szaloną przytomnością umysłu wydobyć się mogą z najgorszej matni. Jako przykład przytaczam dwa opowiadania pułkownika Grobickiego⁴⁰. Jest to królewiak, syn właściciela dóbr. Gdy w 1912 stacjonował w Złoczowie, złożył nam wizytę w Stronibabach z młodziutką i bardzo ładną żoną. Zapytałam go dlaczego służy w wojsku austriackim, to powiedział, że czuje pociąg nieprzemierzony do tego stanu, a nie chciał służyć w wojsku rosyjskim, wierząc święcie, że w ten sposób ojczyźnie najlepiej się przysłuży.

- W armii austriackiej? – zapytałam.

⁴⁰ **Jerzy Grobicki (1891-1972)** – ur. na Mazowszu. Generał bryg. WP. Miał niezwykle bogaty życiorys wojenny: służył w Legii Cudzoziemskiej, walczył z oddziałami partyzanckimi w Macedonii. W omawianym czasie był rotmistrzem pułku c.k. kawalerii.

- A później w armii polskiej. – odpowiedział. – Jestem pewny, że to kwestia niedalekiej przyszłości. Będzie wojna wkrótce, a potem muszą nas Polskę utworzyć.

- Wierzy pan w wojnę?

- Najniezawodniej.

I nie pomylił się.

Ten tedy pan Grobicki zaraz w 1914 odznaczył się w kilku potyczkach, mówiono o nim, że się go kule nie imają. Udekorowany rzęsiście, ukazał nam się w 1916 już w aureoli bohatera. Z przeżyć swoich opowiedział mi dwie następujące przygody:

Po jakiejś potyczce w Królestwie odbił się od swoich i po ciemku jechał lasem w kierunku, w którym miał nadzieję z pułkiem się połączyć. Wtem, jeździec jakiś napędza go z tyłu, chwyta za kołnierz wołając:

- *Szto eto za takoj?*

Grobicki po rosyjsku umiał znakomicie, a i psychologię sądata widocznie dobrze zbadał, bo nie namyślając się wymierzył napastnikowi rzęsisty policzek i zapytał:

- *Uznał szto za takoj?*

- *Łaski dopraszajem wasze wysokobłahorodie.*

I pomknął sołdacisko pewny, że to swój go uczęstował, a pan Grobicki do swego pułku trafił bez przeszkody.

Druga historia była taka:

Po jakiejś gorącej, o wątpliwym wyniku rozprawie, Grobicki czuł się tak zmęczonym i wyczerpanym, że usiadł pod drzewem obojętny na wszystko. Dwóch Moskali przypadło do niego chcąc go brać w plon. "Dobrze, weźmiecie mnie, tylko chwileczkę odpocznę, bo bym na nogach ustać nie mógł". Usiedli obaj i rozgwarzyli się po przyjacielsku. Wtem zaczynają padać strzały. Jeden zrywa się i ucieka, drugi otrzymuje ranę w nogę i zaczyna błagać Grobickiego, żeby go w pion wziął i nic złego nie dał zrobić. Niedawny jeńiec wyjmuje bandażę i opatruje nogę sałdatowi. Strzały cichną, Austriacy oddalili się.

- Teraz puść mię bracie do moich – proponuje Grobicki.

- Dobrze, panie oficer, ale jak pójdziesz? Przed nami nasze pozycje.

- Prowadź mię za sobą niby plennego!

Sałdat karabin na ramię wziął, Grobicki schował pod mundur broń i idzie, jako jeńiec krokiem. Tak przeszli wszystkie rosyjskie placówki, przy ostatniej powiedzieli sobie "*proszczajcie*" i rozeszli się zgodnie.

W mieście

Karty na chleb, na mąkę, na cukier, na tłuszcz, na kawę, naftę i kartofle, powoli, a ostatecznie, zaczęły regulować konsumpcję, ale też i do rozpaczki doprowadzać konsumentów. Posiadanie karty nie dawało jeszcze pewności, że po długim czekaniu w tak zwanym ogonku, zostanie się artykuł pożądanym. "Kto na ciebie kamieniem, ty na niego kartą chlebową" powiada nowoczesne przysłowie. Smutnym okiem spoglądają obywatelki lwowskie na tę tęczę różnych barw. "chyba ten papier zjem" mówiły desperatki ogonkowe. Opowiadano we Lwowie, że gdy cesarz Wilhelm przejeżdżał przez jedno z miast niemieckich, jak zwykle owacyjnie witany, zauważył, że najgłośniejszy krzyknął "hoch" słuszny, szczupły mężczyzna, a po wydaniu tego okrzyku upadł i zmarł. Automobil cesarski stanął. Przywołano lekarzy. Nie mogli jednak zbadać powodu nagłej śmierci. Zatem cesarz kazał zawieźć własnym automobilem na klinikę nieboszczyka, ażeby tam sekcja wykazała przyczynę nagłego zgonu. Znalezione jelita puste, wszystkie organy zdrowe, a w żołądku trzy kartki, na chleb, na cukier i na tłuszcz. W „Kurjerze Lwowskim” wychodziły często przepisy gospodarskie, na zrobienie mydła, pieczywa bez drożdży, sposób na zmarznięte kartofle i tym podobne drobiazgowo tajemnice, które jakaś dobra gospodyni

ze swych doświadczeń szerszej publiczności udzielała. W „migawkach”, które stanowiły kącik humorystyczny „Kuriera”, napisał ktoś zupełnie podobnym stylem: „kartę cukrową ususzyć na kuchni, utłuc w moździerz i starannie przesiawszy, wsypać do puszki porcelanowej, lub blaszanej, używana w małych dawkach do kawy lub herbaty wystarczy na długo. Przy karcie chlebowej uważać, by na słońcu nie leżała, gdyż, o ile posmarowaną jest odpowiednią kratką z kartki tłuszczowej, łatwo jełczeje, a nawet zacznie się topić...”. I tak dalej...

Przypomina mi się wiek dziecinny i stara boncia, która na febrę, tak zwaną zimnicę, miała środek niezawodny. Indyjskie jakieś słowo, z dwunastu sylab złożone, pisało się na kartce i pacjent kartkę połykał, potem co dzień zażywał kartkę, w której się po jednej sylabie z końca urywało. Gdy dwunastego dnia, ostatnią sylabę połknąwszy, zakrztusił się, znak to był pewny, że go febra opuściła.

Tak zwane ogonki przy sklepach zaczęły się już w jesieni 1915 roku, ale z początku tylko przy składach artykułów zbytkownych, jak cukier, kawa, konfitury Meinla⁴¹. Cukru brak był wielki, rosyjskie zapasy prędko się wyczerpały, ale rozpaczliwymi stały się ogonki, gdy chleba i

⁴¹Julius Mainl – znana wiedeńska firma cukiernicza, działająca po dziś dzień nieprzerwalnie od r. 1862.

mąki brakło. Wtedy to ustawiali się ludzie dwójkami lub trójkami, a żołnierze z karabinami chodzili tam i z powrotem, pilnując porządku. Różne były tych ogonków właściwości i charaktery. Bywały ogonki złe, zgryźliwe i kłótniwe. Bywały przepojone taką rezygnacją w cierpliwości, że raz przy nafcie, której tyle w Galicji, opasały całą kamienicę dookoła. Były czasem wesołe, bo bezczynność przymusowa usposabiała towarzysko i dowcipnie. Słyszałam panów, którzy sobie te postoje za małą rozrywkę uważali, ale wolałam nie dochodzić na czym właściwie przyjemność polegała. Szanujące się sługi porządných rodzin w ogonkach stać nie chciały, trzeba było najmować kogoś do tej bezczynności. Była to straszna strata czasu. "Rano wstaje, kto w ogonku staje" - było także aktualnym przysłowiem. Na własne oczy widziałam, jak dzieci nieletnie, okutane w chusty, układały się do snu o jedenastej w nocy przed progiem sklepu, w którym na drugi dzień rano chleb otrzymać miały.

Gdy chłód jesienny nastał, policja spędzała maleństwa, a one na drugi dzień z rana jeszcze dłużej czekać na zimnie musiały, bo ich starsi wyprzedzali. Trzewiczki podarte, spódniczęta wiatrem podszyte. Stało to tak tupiąc i z nogi na nogę przestępując. Ile kobiet ciężko przechorowało te godzinne na mrozie wystawanie. Opowiadano mi, że raz ogon był niespokojny i babom buzie się rozpuściły, niektóre zaczęły krzyczeć. Żołnierz pilnujący starał się zatkać usta

najenergiczniejszej, do ucha jednak szepnął jej półgłosem: “krzyczcie mamuniu, a głośno, bo i moja żona chleba nie dostała”. Przed sklepem z naftą i solą najcierpliwiej stali Żydzi i Żydówki. Gdy zdobyli jedną topkę soli⁴² lub litr nafty, podawali ją innym, a sami znów na końcu ogona stawali. Był to interes rentowny. Na wsi nie było ceny, której by baba za sól nie dała, jeśli o nią było trudno. Na prowincji cena topki soli dochodziła 4 koron i wyżej, a gdy raz się ustalił handel zamienny, to nieraz za litr nafty brał Żyd kurę. Cukier po małych miasteczkach kosztował 5 koron za kilo, a i to trudno go było dostać. Przeszkodą ogromną w handlu była taryfa wydawana w celu unormowania cen, bo tak była niska, że nikt po tej cenie sprzedawać nie był w stanie. A policja pilnowała i kontrolowała, ażeby jej nie przekroczyć. Po kilku niemałych próbach zrewoltowały się krupiarki i mączarki, przestały swój towar rozkładać. Tak rynek, jak budki za starym teatrem – tak zwane “na ławkach” świeciły pustkami, ludzie wracali z zakupów z próżnymi rękoma. Trzeba było je zmuszać do sprzedaży. Taryfę podniesiono. Wyszły w końcu pod groźbą odebrania koncesji, ale sprzedawały niechętnie, a jeśli policjanta w pobliżu nie widziały, stawiały swoją cenę. Dy się im zwróciło uwagę, że ceną ponad taryfę, odpowiadały: “Ja nie siłuję! Niech pani idzie do taryfy, może ona pani sprzeda!”

⁴² Topka soli – galicyjska miara soli równa ok. 2 kg.

Dla porównania podaję ceny artykułów obecnie o z roku 1914:

rok 1914	taryfa	rok 1917
cukier 1 k. 88 h.	1.18	1.26, bez karty 4 korony
kawa 1 k. 9 h.	16 koron	30 koron
kakao w proszku	1 k. 4.50 h.	26 k.
jaja 1 szt. 14 h.	26 h.	40 h.
mleko 1 litr 44 h.	60	1.60 h.
krupy jęcz. 1 k. 60 h.	78 h.	3.50 h.
krupy hrecz. 1 k. 86 h.	2 k. 60	5.50 h.
groch 1 k. 18 h.	1 k. 60	3 k.
fasoła 1 k. 28 h.	2 k.	4.50
mąka 1 k. 25 h.	1 k. 18 h.	6 k. i więcej
mydło 1 k.	9 k. 50 h/	18 k.
świece 1 k. 60 h.	2 k.	10 k.
para trzewików 25 k.	86 k.	115 k.
para kaloszy 12 k.	30 k.	56 k.
prześcieradło 10 k.	20 k.	26 k.
metr barchanu 90 h.	6 k.	6 k.
krowa 550 k.		3000 k.
koza 30 k.		500 koron

A cóż mówić o dwunożnej aprowizacji miasta, o babach, które co dzień na swych plecach dźwigają z daleka, bo o milę nieraz i więcej, różne wiejskie przysmaki! One są teraz paniami położenia. Sadowi się taką babę jak najwygodniej. Podać jej trzeba herbaty z rumem. Poczęstować cukierkami, bo jakże inaczej dojść do jajek, śmietany, masła lub sera. Była chwila, że w lecie, w czasie robót polnych, zakazywano babom kursować. Ładunek jej odbierali i szacowali urzędnicy na akcyzie, płacili nieznaczną sumę, a ona musiała wracać, niby to do roboty w polu. Było to krzywdą dla niej i dla jej stałych klientów. Na szczęście instytucja bab nie dała się w ten sposób unicestwić! Przekradały się, czy opłacały? Nie wiem. Dość, że każda majątniejsza rodzina we Lwowie ma swoją babę, która w chwili szlachetniejszego porywu, nadprogramowo, dostarczy kilka litrów kaszy lub mąki. Gdy na wsi brakło soli i nafty, baby postawiły warunek *sine qua non*, żeby się ich klientki o te dwa artykuły dla nich postarały. I starały się, ukradkiem, kupić za drogie pieniądze nafty lub soli, byle taka dobrodziejka progę ich przypadkiem nie ominęła.

Powoli tu i ówdzie głód doskwierać zaczyna. Opowiadano tu głośno, że jakaś kobieta z dzieckiem na ręku, czekała na chleb przed mleczarnią, na ulicy akademickiej, od 5

z rana. Gdy o dwunastej sklep zamknięto, bo już chleb wyszedł i wszyscy się rozchodzili, żeby przed innym sklepem na końcu ogonka szczęścia próbować, ona zawołała: "a z czym ja do domu wrócę? Tu głodna sama z głodnym dzieckiem od rana stoję, tam troje czeka na chleb. Niech już lepiej zginie od razu, póki małe!". I rzuciła dzieckiem z całej siły o bruk. Uprzątnięto zwłoki co prędzej, by buntu nie szerzyć. Po cichu opowiadają, że inna baba, czworgiem dzieci obarczona, gdy już zimno i głód stały się dla tego biedactwa nie do wytrzymania, w nocy podusiła wszystko czworo we śnie. Sprawa dała się ukryć, gdyż policja sama starała się nie wywoływać dochodzeniem tragizmu sytuacji.

Nie zapomnę też wzmianki w gazecie o chłopcu, który w Wiedniu, wróciwszy ze szkoły, zjadł cały chleb, który dla reszty rodzeństwa był przeznaczony, i z rozpacz i obawy przed karą, powiesił się. Och! Wojno! Tyś nie matka!

Opowiadają tu bajeczkę o pewnym starym kawalerze w Berlinie, który tak długo walczył o zdobycie środków do życia, że w końcu zbrzydło mu ono zupełnie. Postanowił otruć się. W tym celu zażądał arszeniku w aptece. Dali mu nie robiąc trudności. Zażył sporą dozę, i położył się spać. Na drugi dzień powstał rzeźwy i zdrów. Idzie z pretensją do aptekarza.

- To był arszenik zastępczy (*ersatz*). Prawdziwego już dawno nie mamy.

Kiedy tak, to się zastrzeli. Kupił sobie rewolwer i nie namyślając się długo, wpakował sobie siedem naboju pod serce. Stoi, czeka. Jakoś nic! Pędzi z pretensją do rusznikarza, bo widać jego naboje nic nie warte.

- Tylko takie wolno cywilnym osobom sprzedawać.

W ostatniej pasji kupuje sznur, długi i gruby. Wychodzi na strych. Ale sznur był wojenny, papierowy. Urwał się, zanim zdołał na belce porządnie zawisnąć. Zrozpaczony, nie wstępuje już do swego pomieszkania, tylko leci nad Sprewę, tam znajdzie koniec swej męki, bo już w rzece żaden szwindel mu nie grozi. Nad rzeką ludzi tłum, nie puszczają go.

- Jak to? To już i utopić się mi nie wolno?

- Owszem. Wolno! Ale nie wolno się pchać, stanąć trzeba w ogonku!

Stał tak dzień cały, swojej kolei doczekać się nie mógł. Tylko przez ten czas rozmyślał, i doszedł do przekonania, że jednak życie ma swój urok, nawet dla takiego jak on desperata. Postanowił żyć za wszelką cenę, a że wśród prób samobójczych o jedzeniu zapomniał, zaraz wszedł do sklepu, kupił sobie długą, pruską *Ersatz*, kielbasę i bochenek chleba. Żałować sobie na jadło nie będzie!

I co powiecie państwo, na długi dzień do pochowali!

Pewnego jesiennego poranku dają mi znać, że baby w rynku zbuntowały się, krzyczą i szyby w oknach wybijają. Strasznie byłam ciekawą, jak taka awantura wygląda. Namówiłam córkę i poszłyśmy popatrzeć. Nie był to czyn bohaterskiej odwagi, gdyż wiedziałam, że w takich wypadkach policja bywa bardzo grzeczna. Jednak przyszłyśmy trochę za późno. Brzęku szyb już nie słychać, za to bruk szkłem wysypany. Idziemy posłuchać, co też baby wykrzykują.

- Złaż z konia! Ty diable malowany. – woła do konnego policjanta wysoka, tęga i nie stara przedmieszczanka. – Do okopów idź, tam gdzie mój mąż krew przelewa! A ty tu babom chleba bronisz. Czy ci nie wstyd?

Idziemy dalej, bo nas policje bardzo grzecznie proszą, żeby się nie zatrzymywać.

- Pewnie, pewnie – rajcuje kilka młodszych i mniej zawziętych. – Mają za swoje te łajdaki, niech teraz szkło uprzątają.

- Ale bo to i państwo bidni! – zwraca się do mnie jedna, widząc, że nie spoglądam karcąco. – Im także źle.

Rewolta wcale sympatyczna. Uznają w nas towarzyszy niedoli! Największa złość skierowana do ratusza i do burmistrza rządowego, bodaj czy nie słusznie. Idziemy dalej, ale co podeszwy trzewików na to powiedzą (szkło aż chrupie pod nogami). Wybieramy drogę popod żydowskie sklepy, tam

ani jedna szyba nie pękła. Co za przemądry naród! Małe Szmajgelesy⁴³ przeważnie tu rej wiodą, prowadzą tłumy, krzykiem podniecają, dostarczają kamieni do rozbijania szyb. Wszystkie katolickie kawiarnie mają szyby wybite, nawet "Roma" i "Szkocka" przy Akademickiej. Żydowskie przeważnie ocalały. Wsiadamy do tramwaju. Naprzeciw siada sucha, żółta, nie stara jeszcze, jejmość. Dyszy zawziętością.

- Ale czyż nie szkoda tych szyb? – ryzykuję uwagę *quasi* pedagogiczną.

- Co szyby! – odpowiada z podnieceniem. – Głowy będą lecieć! Już czas, żeby pospadały.

Stosunki aprowizacyjne poprawiły się natychmiast. Jakiś czas były anielskie, ale teraz, pod wiosnę 1917, coś się znów popsuło. Byłam przed kilku dniami u jednego z radców magistratu, w sprawie kartofli dla taniej kuchni w Dźwigni. Odmówił. Nie ma kartofli. "Nie wiem, co dalej będzie. Niech się panie przygotują, że mię ujrzą niebawem na latarni".

Twarze poźółkłe, z zapadniętymi policzkami, widuje się tu co krok. Wszyscy są głodni, podrażnieni. Dzieci blade, bezkrwiste i takie bezbrzeżnie smutne. Hej! Panie poruczniku C. – nie zbrodniaż to była tak nasze zbiory zmarnować? – Ale o tym potem.

⁴³ Szmajgeles (gwar. bałak,) – pogardliwe określenie Żyda.

Wracam do bab. Prawie wszystkie biorą zasiłki wojenne. W mieście żona bierze za męża miesięcznie 36 k. Za każde dziecko połowę tej sumy. Upominały się, że dzieci dostają za mało, więc przyznano im dodatek na głowę dziecka – miesięcznie 34 hal. (słowami – trzydzieści cztery). Zdarza się, że w razie śmierci którego z dzieci, odbierają babie papier, ażeby inny rachunek zaprotokołować. Przez pięć miesięcy trzymają. Baba żyje czym bądź. Dzieci na miłosierdzie dobrych ludzi skazane. Gdy potem większą sumę od razu otrzyma, upije się parę razy setnie, a dzieci będą chyba umierać kolejno, bo lepiej im, gdy matka trzeźwa, choć w nędzy, niż gdy się upija.

O pieniądzech też dziwne krążą wieści. Podobno tę szaloną zwyczajną cenę zawdzięczamy niskiemu kursowi koron za granicą. Dziesięciokoronówki mają być stemplowane. Stempel będzie kosztował dwie korony. Prawdopodobnie plotkę tę wywołała biała kartka, z którą wyszły nowe dziesięciokoronówki. Byłby to nowy zamach na nasze mizerne kieszenie. Jednak rzeczy świadomi, powiadają że to nieprawdopodobne. Skarb austriacki będzie musiał użyć radykalniejszych środków do sanacji swoich interesów. Przepowiadają nam podatek na wszystkie ruchome i nieruchome majątki od 15 do 25 %, oprócz tego ma wejść nowa moneta. Przypuśćmy, że będzie się nazywała X. będziemy ją kupować za trzy korony obecne, a wartość będzie

miała jednej obecnej korony. Ha! Zobaczmy. Tymczasem wynagrodzeń za szkoły płacić nie będą, a nawet do świadczeń wojennych, tj. szkód przez austriacką armię zrobionych, nie przyznają się, a przynajmniej aż po San wolą ignorować. Ciekawa rzecz, czy Węgrom popłacą ich szkody. Dziwnie trudno jest ułożyć budżet domowych wydatków. Prorokuje każdy, wedle własnego "widzi mi się", że lada chwila może tego lub owego zabraknąć, więc trzeba kupować na zapas, a jak to pogodzić z oszczędnością, kiedy ceny poszły niebywale w górę, i co chwila przychodzi żałować, że się dawniej, kiedy było tańsze, nie kupiło w większej ilości. Po sklepach namawiają, żeby większe czynić zakupy, bo to już ostatek towaru. Wkrótce ma być wyczerpana czekolada, kakao, kawa, herbata, mydło, świece. Na ten temat skomponował ktoś zabawną historyjkę:

Przychodzi jakiś jegomość do sklepu, kupiec proponuje:

- Niech pan kupi świece w większej ilości, potem ich wcale nie będzie...
- Nie potrzebuję świec.
- To może mydło. Dużo mydła, potem go wcale nie będzie.
- Nie potrzebuję mydła.
- A może zechce pan kupić mapę Austrii, dużą mapę Austrii, szczerze radzę, potem jej wcale nie będzie...

Na wsi

O ile zasiłki wojenne były w mieście prawie że niedostateczne, by wyżyć, o tyle na wsi choć o połowę zmniejszone, były dolewaniem do i tak już przepelnionej czary.

W roku 1914 chłopci zaraz po bitwach, szli na pobojowisko, z poległych ściągali buty, ubrania, a zdarzały się podobne hieny, które nie wahały się nożem do zgonu dopomóc. Przy pospiesznym cofaniu się, austriacka armia potrzebowała wagonów do przewiezienia żołnierzy. Nieraz w polu opróżniono cały towarowy pociąg, mogli się więc nieraz kosztownymi artykułami obłowić. W Bobreckiem przez całą zimę karmili chłopci świnie surową kawą, nie wiedząc, co to za ziarenka, bo Żydzi im tylko palonej i mielonej dostarczali. Nie mówię już o rabunkach po dworach i miasteczkach, choć i te niejednego mogły wzbogacić. W czasie okupacji, kozacy chętnie dzielili się z trudniejszym do uniesienia trupem, gdyż komitywa była doskonała. Rząd moskiewski rozdawał ruble i inne zapomogi z różnych tytułów, głównie dla propagandy prawosławia. Znajoma mi, żona internowanego przez Austriaków moskalofila, majątna gospodyni, otrzymywała 15 rubli miesięcznie. Gdy weszli Austriacy, cena krów, świń i drobiu, których Moskale chłopom nie zabierali wcale,

podskoczyła w trój- i czwórnasób. Z produktami rolnymi stało się to samo. Zbieranie po polach szrapneli (choć z tym dużo był ciężkich wypadków), karabinów, i innych woskowych efektów, opłacała armia znakomicie. Wprawdzie zmuszali i wypędzali chłopów do pracy na łąkach dworskich, ale tę robotę biedni obszarnicy drogo opłacali, więc znów dostatek! Gdy przyszły zasiłki wojenne, za tyle miesięcy wstecz obliczone, baby dostawały po parę setek koron o zaczęły wprost wariować. Gdy w lecie roku 1916 ze wsi odwiedzałam miasto, najczęściej w święto i niedzielę, bo na tygodniu konie były do roboty potrzebne, z przyjemnością patrzyłam na stroje kobiet po wioskach okolicznych. Aksamitne spódnice, kolorowymi jedwabiami w duże kwiaty haftowane, fartuchy jedwabne z koronkowymi wstawkami, mieniące fularowe halki, wyszywane gorsety, wstążki, kwiatki, paciorki, aż się w oczach mieniło. I przyznaję szczerze, że mi ten widok cieszył niepomierne. Piękny strój przyczynia się do rozwinięcia osobistej godności, a taki szacunek dla samego siebie jest moralną tamą dla niskich, brzydkich instynktów. Brak potrzeb, ograniczanie się do jednej pary butów i jednego kożucha dla całej rodziny, wprawiały lud w stan gnuśnego bytowania. Zasmakowanie w więcej wyrafinowanym życiu i ubraniu, rozbudzi może chęć do większego wysiłku, do pracy intensywniejszej, do której nie brak im sprawności, ani uzdolnienia.

Kupowały też sobie baby “parfony”, za 50 koron flaszkę. Różne upiększające maści i bielidla, do których aptekarz kazał sobie przynosić dużo świeżego masła, a z esencji wyciągał tylko mały słoiczek. Szampan, malaga, cukierki, wazoniki hiacyntów i innych kwiatów, znajdowały najchętniej nabywców w chłopach. Znałam starego gospodarza, który co dzień musiał mieć szynkę do śniadania. I “fotografowali” się z wielkim zamiłowaniem. Do męża w samarskiej guberni, “plennego” poszła fotografia żony. Tysiącza pod brodą, dookoła wianuszek setek wachlarzowato ułożony. *Naj znaje, kilko ja tu hroszy maju*

A jak było z moralnością? Bywało różnie. Jak to na wsi i jeszcze w czasie wojny. Najgorzej było ze zdrowiem, ale tej statystyki nie mam zamiaru prowadzić. Cytowano mi przykłady takiego statku i cnoty, jakiego Małgorzata z Zembocina⁴⁴ mogłaby pozazdrościć. Działy się też takie dramata, wskutek rozpasania żołdactwa, że serce się krwawi na ich wspomnienie. Niedawno odbywała się rozprawa sądowa nad srodze udekorowanym wachmistrzem, który powróciwszy na urlop do domu, żonę swoją za wiarołomstwo przebił bagnetem. Na zapytanie, co ma do powiedzenia na swoją obronę, wyrzekł głosem doniosłym – “prześwietny

⁴⁴ Małgorzata z Zembocina – postać literacka znana z poczytnego niegdyś utworu: „Małgorzata z Zembocina. Powieść z czasów Bolesława Śmiałego oparta na podaniu kronikarzy o Małgorzacie z Zembocina”.

sądzie! Oto od trzech lat biję się za państwo i zabijam ludzi, których nie znam, ale którzy mi nic złego nie uczynili. Za to, otrzymałem te wszystkie ordery. A żony, która mię tak strasznie skrzywdziła nie miałbym prawa zabić?”.

Ale kiedy już o tych rzeczach piszę, nie mogę nie przytoczyć treści listu, który mnie powtórzyła dosłownie osoba, która go czytała. Pochodził od “plennego” z głębokiej Syberii:

Kochana żono! Ucieszyłem się twoim listem, żeś zdrowa i że szczęśliwie miałaś chłopca. Z tą jedną donią byłoby smutno w chacie. Gdy powrócę, będę miał z kim iść w pole. A teraz nakazuję ci, chowaj go bardzo starannie i niczego nie żałuj, żeby wyrósł zdrowo. Panu oberleutnantowi, za te pieniądze i papiery, co do chrztu były potrzebne, pamiętaj – pięknie podziękuj ode mnie. Najwięcej mię cieszy, że to od pana oberleutnanta...”.

I czyż w sprawie zaludnienia nie pobija chłopka filozofia rekordu z premiami, które podobno wyznaczają polskim robotnikom w Niemczech Prusacy?

Ale z wszystkich kobiet najbiedniejsze były ewakuowane!

Wobec zrad Rusinów, które się w Brodczyźnie Tarnopolskim i Podhajeckim ciągle powtarzały, Prusacy nie

wyszukiwali winowajców i nie wieszali nikogo. Woleli się wszystkich pozbyć z okręgu wojennego, i ewakuowali, zwłaszcza gdy im się cofać wypadł. Kazali się zabierać, tak chłopom, jak inteligencji, nie wchodząc wcale w różnice wyznania, narodowości, ani stanowiska społecznego. Do Lwowa przyjeżdżali ci napędzeni, którym pięć godzin do ubrania się udzielono, o ile mieli dom urządzone. Na meble i na wszystko tam pozostawione musieli krzyżyk położyć. Prusacy tylko na początku wojny starali się cudzą własność szanować.

Jeszcze w oczach właścicieli, zanim spakować się wyjechać zdążyli, rozbijali biurka, kantorki. Piękniejsze zaś, stare meble obijano naumyślnie na to przygotowanymi deseczkami, żeby podróż szczęśliwie przetrwać mogły. Zdarzyło się to niedawno panu Ceitlebenowi. *Kriegszeit* i *Kriegsbeute*⁴⁵ nie uwzględniały austriackich, choćby najlojalniejszych poddanych.

Właściciele ewakuowanych majątków pragnęli naturalnie pozostać na miejscu. Przy ewakuacji majątku pana Bączkowskiego, rządca jego, któremu bez kontroli było korzystniej z Moskalami gospodarować, zadenuncjował go wojsko, austriackim jako niepewnych przekonań i internowano go na dwa lata w barakach.

⁴⁵ *Kriegszeit* i *Kriegsbeute* (niem.) – czas wojny i łupów wojennych.

Jedna z takich ewakuowanych pań przyjechała w koronkowym szlafroku i pantofelkach, z dzieckiem na ręku. Widocznie o niej zapomnieli, nie uprzedziwszy, i tak ją w ogrodzie zastali, wpakowali na wóz i powieźli na kolej. Zaczęły się wtedy we Lwowie rozszerzać baśnie niemożliwe, np. nieprawdopodobne przypuszczenie, że w razie cofania się aż pod Lwów, nas wszystkich wywiozą do baraków pod Rzeszowem, i tam mamy wyczekiwać końca wojny. Opowiadano też, że w Brodyczyźnie całe okoliczne obywatelstwo zjechało do Ponikwy do państwa Bocheńskich⁴⁶, w tej nadziei, że w tak licznym gronie nie będą ich Prusacy z miejsca ruszali, a cokolwiek się stanie, woleli być przy swych majątkach. Otóż podobno zmusili pana Bocheńskiego, żeby wyjechał, więc wyjechał sam. Gdy żandarm stojący na drodze spostrzegł, że powóz jego, zamiast na lewo, skręcił na prawą stronę placówek rosyjskich, strzelił i zabił pana Bocheńskiego na miejscu. Do samego pałacu w Ponikwie zaczęli Prusacy strzelać i zginął tam nasz znajomy – pan Pil i pani Madejska.

⁴⁶ Pałac w Ponikwie – położony ok. 10 km. od Brodów. Historyczna własność Koniecpolskich, Sobieskich i Potockich. W omawianym czasie był własnością **Marii Magdaleny z Dunin-Borkowskich Bocheńskiej** (córki Emanuela hr. Dunin-Borkowskiego i Aleksandry z Dzieduszyckich) i jej męża **Adolfa Bocheńskiego**. Wspaniałe wnętrza pałacowe nie przetrwały I wojny św.

Całe to opowiadanie okazało się po paru tygodniach wierutną bajką. Nie ustąpili, to prawda, ale żyją i nienajgorzej im się w Brodach powodzi.

Najstraszniejszy widok przedstawiają ewakuowani w zimie. Tazszą ich wtedy pociągami. Gdy tak raz z kilku wagonów wysypało się to bezdomne bractwo, przemarznięte okrutnie, z dziećmi szmatami pookręcanyimi, z przemrożonymi rękoma i nogami, patrzącym na to po prostu chciało się wyć z bólu i rozpacz. Nie wiem, czy napady Tatarów nie bywały mniej okrutne! Mogli przed nimi uciekać, a u daremny trud. Albo przynajmniej na miejscu ginęli, a nie skazywano ich na tułaczkę bezlitosną w tym srogim naszym klimacie. Przybywszy na miejsce dłuższego pobytu, jest nakazem poddać ubrania ścisłej dezynfekcji. By temu przepisowi zadość uczynić, spędzają całą gromadę w ogrodzone, ale nie zakryte, ani ogrzane miejsce, i bez względu na to, że SA tam razem mężczyźni, kobiety i dzieci, bez względu na mróz, nieraz 20 stopniowy, rozbierają żołnierze wszystkich do naga i pozostawiają na parę godzin, dopóki proceder nie zostanie ukończony. Raz na taki konwój podejrzanych o moskalofilstwo ewakuowanych, natknął się pułk węgierskich huzarów, rozwścieczonych świeżą jakąś zdradą, Węgrzy, dowiedziawszy się, kogo żołnierze prowadzą, w zapamiętaniu wycięli cały konwój do nogi.

Dla chłopów, opuścić chałupkę i dostatek na niepewną tułaczkę, to była rozpacz prawdziwa. Nie pozwolono im nic z pola wziąć, nic z ziemi wykopać, bo żołnierze bywali coraz głodniejsi, i też musieli pozostałymi resztkami pożywić się. Jechał zwykle stary gospodarz, bo młodzi już w wojsku austriackim służyli, gospodyni, kilka newistek⁴⁷ i córek zamężnych z dziećmi, więc dzieci dużo. Mieli do wyboru – albo jechać za San, gdzie im nawet przyobiecivano zapomogę, albo pozostać bliżej na własnym koszcie. Wielu wolało pozostać bliżej, ażeby w każdej chwili móc powrócić do ojczystego zagonu. Ponieważ w O. było wiele chałup pustych po dobrowolnych, do Rosji, emigrantach, więc wielu ich tam umieszczono. Zbiedzeni byli i głodni. Trzeba się było ugodzić z nimi o robotę w polu, i z góry trochę zboża odstąpić. Krowy i konie kupowali u nich Żydzi. Ci wszędzie zysk dla siebie upatrzą. Rozmawiałam z tymi babami. Były to często majątne gospodynie. Desperowały, że im nie dali wykopać pochowanego w ziemi zboża i płótna. Płótno pewnie zgnije. Ta mania u naszego ludu, chowania wszystkiego do ziemi, okazuje się w czasie wojennym praktyczną. Najściślejsze komisje rewizyjne nie wynajdą nic pod ziemią. Ich to będzie zasługą, że wielkiego głodu nie będzie. Trudno by przyszło przyzwyczaić się do takiej diety, jaką od kilku miesięcy

⁴⁷ Newistka (ukr.) – synowa.

uprawiają już w Berlinie i Wiedniu. Niemcy – Prusacy – dumni są ze swego ładu i porządku, że potrafili stosunki aprowizacyjne tak oszczędnie uregulować. Na austriackie porządki wygadują, wymyślili nawet przysłowie: *“Gott strafe England mit Österreichisches Verwaltung”*⁴⁸. Nad Galicją wzruszają ramionami, bo to *“polnische Wirtschaft”*⁴⁹ i doskonałą ktoś o tym wymyślił bajeczkę:

W jednym z mniejszych miast Galicji zajechał do restauracji kolejowej pruski jakiś dygnitarz, chcąc spożyć obiad. Podano kartę. Z wielu dań wybrał zbytkowniejsze, których w Niemczech dawno się nie spotyka.

- A może to tylko napisane? – zapytuje pełen wątpliwości.

- I owszem, wszystko to mamy do dyspozycji.

Po obiedzie zadowolony i niebywale syty, każe sobie wołać właściciela restauracji i wypytuje, skąd nabywa te wiktuały.

- *Ekscelenz! Bei uns ist “Polnische Wirtschaft”.*

Podobno w Wiedniu wolno podawać naraz tylko jedno jajko i to kosztuje 1 k. 60 halerzy.

⁴⁸ *Gott strafe England mit Österreichisches Verwaltung* (niem.) – Bóg karze Anglię za austriackie porządki.

⁴⁹ *Polnische Wirtschaft* (niem.) – polska gospodarka.

Zbiory

Ile zabiegów, jazd, żebraniny, a w końcu i pieniędzy kosztowała nas siejba, to i na wołowej skórze nie spiszę. Ale jakoś poszło. Tylko, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. W jednym miejscu zrobiono za wcześnie. Ziemia się po mokrej orce zakleiła, wschodziło bardzo marnie. W drugim znowu za późno, bo najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby kto siał u nas owies i jęczmień w drugiej połowie maja. Z góry wiemy, że tak potraktowana ziemia nie da więcej jak pięć ziaren, i tak rzeczywiście było, i to w najlepszym razie. My – pokorne baranki, wdzięczni i za tę pomoc, płacimy dodatki, różne dodatki *Zugsführerom*⁵⁰ i prostym żołnierzom co tygodnia. Miewamy po trochę wyproszonych jeńców, ale ci są kosztownym nabytkiem. Robią lepiej, niż żołnierze, ale zuchwali są i niespokojni. Co chwila bunty, niezadowolenie. Posty, to jest żołnierze, którzy ich pilnują, sami się ich boją, i zależni są od nich, bywają bowiem między nimi tacy, którzy po kilka tysięcy rubli mają przy sobie. Rozmaite też są, co do utrzymania jeńców, rządowe rozporządzenia. Raz płacimy za nich, a wojsko żywi, co kosztem dodatku wielkiej ilości

⁵⁰ *Zugsführer* (niem.) – w armii austro-węgierskiej odpowiednik sierżanta.

kartofli i chleba, czyni ich zaledwie sytymi i zdolnymi do roboty. Inny układ, że ich dostajemy darmo, za utrzymanie, ale wtedy wymaganiem, tak rządu, jak i Moskali samych, ciężko sprostać. Raz szyjemy dla każdego siennik, bo na słomie spać nie będą, a płótno kosztuje pięć, sześć koron za metr. To znowu bij świnkę, bo oni muszą mieć mięso co drugi dzień, a były czasy, gdzie już u nas poza czwartkiem lub niedzielą rzadko zjawiało się mięso na stole.

Co dwa tygodnie jeńcy idą do Żółkwi pokazać się władzom i doktorowi, wtedy przez trzy dni robota wisi na kołku. *Wy nas chatieli potroit* – mówią, odnosząc mi całą konwie centryfugowanego mleka, bo oni lubią tłuste mleko, prosto od krowy, i muszą takie im dawać. A masła cena chwiała się wtedy między 16 a 22 h. za kilo. Soli brakło zupełnie. Nic temu nie byliśmy winni, ale rządca wyszukał gdzieś ciemną, równie słoną, tylko w gruzełkach. W dwa dni później chodził z wielkim guzem na głowie, bo go któryś malkontent taką bryłą z tyłu uderzył. Powiedzieć co, niebezpiecznie, jak się który obrazi, to podpalić potrafi, jeszcze cieszyć się będzie. Naturalnie trafiali się i pocziwsi. Miałam jednego do roboty przy ogrodzie. Ten sobie właśnie pobyt na *“dierewni”*, czyli na wsi, bardzo chwalił, bo w *“garodi chlieba niet”*, i za kilka papierosów był gotów najcięższej robocie podołać.

O ile Moskale chcą mieć dużo do jedzenia, o tyle wzięci do roboty żołnierze austriaccy wybredni są co do jakości.

Pamiętam, że kucharz takiego oddziału robotniczego zażądał do zupy śmietany, selerów, marchwi, pietruszki, i dużo cebuli. Mieli czas do smaku sobie dobierać, bo godziny robocze były ograniczone ściśle, a i wtedy bardzo się wysilali.

Meine Laute brauchen zweimal des Tages Fleisch, brauchen Bier und Wien zum Rast. Kartoszki. Meine Leute werden keine Kartoszki von morgen bis Abend essen! – kiwa mi palcem przed nosem taki czeski podoficer, bo jutro mają przyjść cztery pług, a z nimi ludzie do orania. Nie masz pana jak z Iwana!

Przyjeżdża komendant etapny, z Kulikowa, razem z Oberlejttnantem, ażeby zakupić nasze siano, dają cenę niemożliwą pomimo targów, nic postąpić nie chcą. A tam wałą armaty na Wołyniu, i ci, których przyjdzie prawie pewne, siano zabiorą i tak nic nie dadzą.

Widocznie chcą te dwa Węgry dobry na nas zrobić interes. Rządca prosi mię, żeby podać herbatę, może ich uprzejmością naszą trochę zmiękczymy. W domu zrujnowanym, takie, choćby małe przyjęci, należy do sztuki. Ale jakoś nakryli, podają chleb, masło, jakieś placuszki. Miernie to wygląda, ale mię uczono, że najlichszą potrawę trzeba tak uprzejmie podawać, jakby to były marcypany. Mój miły uśmiech jednak prędko blednie, bo komendant herbaty nie pija inaczej, tylko z rumem. Rumu nie ma w domu, więc kłapa z przyjęcia! Podsuwa mi i prawie zmusza do podpisu kwit sprzedaży siana po tej lichej cenie. Rozgląda się po domu i ogrodzie, i zapytuje,

ile go sobie cenimy, bo on by kupił. Ma pieniądze, jest fabrykantem wstążek, a nam pewnie pieniędzy trzeba, kiedy nas Moskale zrujnowali. Wytrzymuję to wszystko spokojnie. W duszy myślę, że taki *Etapenschwein* i bez wstążek pieniędzy nazbija. I tak było rzeczywiście. Widocznie czynił to tak nieprzyzwoicie, że go napędzili, a innego dali. Ten inny, na moje zażalenie, zwrócił mi kwit na siano, widocznie trochę był nobliwszy. Podobno z wiosną byli w Żółkiewskim komendantami agrarnymi i na etapach jacyś hrabiowie węgierscy. I gospodarka szła z początku rażniej. Panie ich zakładały ogródki po miasteczkach, zasadzały sałatę, karczochy, pomidory. A że po takich etapach świetnie ludzie żyją, więc wykupiły cały drób w okolicy i to niedrogo, bo chłopci boją się cenić wojskowym. Urządzali też wycieczki do dworów okolicznych, zwykle rano, w licznym gronie, i panie i panowie konno. Może jako sąsiedzi byliby przyjemni, tylko nie w tych warunkach i nie w czasie wojny. Surmy bojowe pod Łuckiem grzmiące rozproszyły te początki sielankowe. Panie powyjeżdżały pierwsze, a urzęda panów zajęli ludzie grubszej sorty, jak nasz fabrykant wstążek na przykład. Ci nie gustowali za lepszymi okazjami, a ponieważ pomidory obrodziły, więc je rozbierały dwory okoliczne, wdzięcznie wspominając miłych hrabiów i hrabiny.

Przyszły żniwa. Rząd płaci pszenicę – 36 h., żyto – 30 h., owiec – 28 h., jęczmień – 30 h. Dają nam lokomobile, każą młócić na gwałt. Odstawiamy zboże. Suche, mokre, wszystko jedno. Dla nas lepiej, gdy mokre, bo więcej waży, ale przez uczciwość przestrzegamy. “A kto pozna, czyje zboże, nie macie się czego wstydzic. Ot, na stacji kilka pełnych wagonów stoi, już worki zieloną runią okryte”. Jakoś nam, z rodu chleborobom przykro. Grzech tak marnować! W podobny sposób, tylko na większą skalę, zmarnował porucznik Cziki stumorgowe ogrody, szklarnie i inspekta koło Radziwiłowa. Zamiast nam tu w głębi kraju do obróbki pól pomóc uczciwie, pan porucznik ucieszył się, że różnym sztabom sałatki i innych nowalijek dostarcza. Pól też tam morgów tysiące uprawiał, wzorowo, jako że były bezpieczeństwa i za swoje mógł je uważać. Nasprowadzał do tej roboty ogrodników, robotników, wielbłądy, bawoły. Po katastrofie pod Łuckiem cofnął się razem ze swoją menażerią. Wielka była z tego widoku uciecha po małych miasteczkach, bo ich za komediantów uważano. Moskale zbiorą plon pracy, a nam każą bawoły żywić, których nie było wtedy, kiedy były potrzebne.

O Gródku⁵¹ teraz opowiadają, że się tam Moskal w kapuście utopił. Będzie do pary z Pacanowem. A było to tak: Kapusta urodziła obficie, i wszyscyśmy kwasili na potęgę, choć prawie bez soli, bo jej dostać nie można było, ale gdzie choć tylko jaką beczkę wyszperaliśmy, zaraz wypełniała się tą dobroczynną i od głodu chroniącą jarzyną. Resztę zabrało wojsko i płaciło nieźle. Zwozili wszystko do centrali w Gródku, gdzie rezydował porucznik Cziki. Usypano z niej sterty, wysokości blisko piętrowych kamienic, i czekano. Pewnie na beczki. Październik był słotny, deszcze lały przez cztery tygodnie, potem pogoda, ciepło. Kapusta zaczyna mocno pachnieć. Ruszono kapustę, jeszcze gorzej. Sprzątnąć ją trzeba z oczy i powonienia. Porucznik Cziki nie będzie się kłopotał taką bagatelą. Zakopie się, zasypie zmieniają. Ale stertę trzeba rozebrać. Wylazł Moskal na stertę, chcąc po główce na dół zrzucić. Trach! Zapadł się, i tyle go widzieli. Od świadków naocznych się dowiedziałam potem, że odratowali biedaka. Zapadł się po szyję, ale go wyciągnęli.

Kartofle kopać ciężko, bo deszcze przeszkadzają. Uprosililiśmy sobie posługę żołnierzy, ale mało co ukopali i już nam ich zabierają. Trzeba prosić tego najwyższego, od gospodarstwa we Lwowie. Jest to dla odmiany

⁵¹ Gródek – miejscowość oddalona o ok. 30 km. na zachód od Lwowa.

Gummifabrikant. Zresztą poczciwy człowiek, kiwa głową pełen współczucia. Dzieli obawę, że kartofle zmarzną, i radzi udać się osobiście do koszar Ferdynanda i tam prosić o to kapitana K.

- A gdyby pan major sam zatelefonował?

- *Die Damen sind gescheiter.* Będzie lepszy skutek.

Idziemy z córką do koszar, w bramie nie puszczają. Tłumaczymy, że nas tu major przysłał, nie pomaga nic. Stoimy pięć, dziesięć minut, kwadrans. W końcu nadchodzi jakiś starszy rangą. Wysłuchał. Kazał żołnierzowi prowadzić nas. Na podwórzu koszar musztra, na korytarzach musztra. Idziemy pomiędzy szeregi tych wyprostowanych męczenników. Duszno, powietrze aż drga od powstrzymanych na nasz widok epitetów. Wreszcie dopadamy drzwi kancelarii kapitana.

- Byli już przecie całe dwa tygodnie.

- Tak jest, ale deszcz padał, jeszcze dużo kartofli zostało.

- Chyba partię nowych złożę i poślę.

- Ale ci nowi nim przyjdą, to będą jeszcze trzy dni odpoczywać, a tu przymrozki!

- To trudno. Tamci niech wracają, na przyszły tydzień drugich poślę.

Warto było chodzić.

A takie było głodne i zabiedzone to żołnierstwo w jesieni 1916 r., że trzeba było dać im odpocząć i podkarmić trochę, ci zaś przesuwają nimi, jakby naumyślnie, nam na przekór.

Gorzelnia nasza naprawiona, po inwazji jeszcze, w roku zeszłym, była do puszczenia w ruch gotowa. Zaopatrzeni w ministerialne pozwolenie etc. Przygotowujemy się do kampanii. Wojsko ma kartofle rekwirować! To może nie u nas! Od czegoż pozwolenie? Właśnie, że u nas, i to prosto z pola. Zwaliło się masą fur, zabierają, pakują do worów z błotem, ze słomą z gnojem. Rządcy żal nowych, białych worków.

- Niech to, wypiorą się.
- Więcej ziemi, niż kartofli poślą!
- Wypłuczają sobie ludzie.
- Mróz bierze, w wagonach pomarzną.
- Postawimy piecyk w każdym wagonie.

Powoli dochodzimy po nitce do kłębka. Kartofle tu płacą 8 koron. Na Morawach droższe, a jeszcze droższe, bo aż 25 koron kosztują przymarznęte, bo je gorzelnią puszczać wolno.

Więc pojedą do gorzelni, tylko nie do naszej!

Raz w ciągu zimy nad takimi zarekwirowaniami kartofli, przeciągnęła śnieżycą z mrozem kilkunastostopniowym. Żołnierze pochowali się w karczmie. Fury na mrozie całą noc stały. Rano podoficer chce konwój prowadzić

dalej, ale pokazuje się, że kartofle do tego stopnia zmarzły, że już ładować na kolej nie można, i marmolada przyjdzie na Morawy. Nie udała się sztuka. Co robić? Rzecz najmniejsza. Zawracają wozy. Każdemu gospodarzowi wysypują po kilka fur zgniłych kartofli. Kwity odbierają, i jazda! Załatwili się *“kurz und gut”*.

W ciągu zimy, gdy mrozy na dobre panować zaczęły, opowiadali urzędnicy kolejowi, raz, o 45 wagonach kartofli, drugi raz o 150 i o 300, że stoją koło stacji, miały być wyładowane dla miasta, ale że zmarzły, więc pójdą dalej.

Charakterystyką okresu między jesienią, a wiosną 1916/1917 było, że ludzie ciągle rozbijali się za kartoflami. Z jesieni nikt nie mógł się zaopatrzyć, bo zmieniano siedem razy warunki przywozu. Najpierw tylko pozwolenie komendy. Zanim pośpieszyliśmy postarać się o nie, już jest niedostateczne. Trzeba postarać się o pozwolenie odnośnego starostwa. Jadę do Żółkwi i proszę starosty. Nie może dać, ustawa zmieniona. Pytam w komendzie – wolno! Ale tylko z lwowskiego powiatu, i takich niespotykanych trudności bez liku. Wreszcie wyszły karty ograniczające konsumpcję, i wtedy trzeba było swoje zapasy zgłaszać. Pod wiosną brakło kartofli w mieście, a przecież ubożsi tylko kartoflami żyją. Ażeby zakupić 5 kilo kartofli, musieli iść do ogonka przed jakimiś koszarami, już o drugiej w nocy, a o 7 z rana dopiero

zaczynało się rozdawanie. Energiczniejsze niewiasty idą na wieś, kupują u gospodarzy za 10 koron 25 kilo, i na plecach przynoszą. Co będzie dalej? Rozgoryczenie wzrasta. Najnowsze rozporządzenie dopuszcza tylko ćwierć kilo kartofli dziennie na osobę, w Niemczech tyleż na cały tydzień! Że oni jeszcze żyją! Co człowiek nie jest w stanie wytrzymać! Sobie samemu dziwić się można, że się te utrapienia znosi. Teraz rekwirują na wsi zboże, które na nasienie było pozostawione i płacą po rządowej cenie. Wywołuje to oburzenie, upominanie się. Uproszony przez nas starosta telegrafuje do Białej, w końcu pozostawiają, że jednak zboże na nasienie jest droższe. Musimy dopłacić tę różnicę do własnego, leżącego w spichlerzu zboża. Jest jakkolwiek znaczna różnica. Na przykład cena rządowa pszenicy jest 36 koron, a my za nasienną płacimy 50 i 55 koron. Czasem zabierają nasze dobre ziarno, a gorsze i droższe przesyłają to miejsce. Skrzeczy na świecie, o których filozofowie nie śnili. Na drzewo z lasu, siano, słomę, dostajemy kwity, czyli tak zwane *Bescheinigung*, które w "*operationskasie*" realizować trzeba. Tam dopiero odbywa się wędrówka, z biura do biura odsyłają, w każdym targują się o cenę, a gdy tak niejeden po cztery razy na dół, na górę, chodzi i godzinami targować się musi, to już woli wyrzec się nieraz wszystkiego. Ostatecznie

tak zdudzą, że już woli stracić. A dla armii w to graj. Świeżo opowiadała mi panna Romańska z Łuki⁵², że ją Prusacy bez ceremonii wyrzucili z jej domu i pokoju. Pozabierali dla siebie meble, łóżka, materace, a gdy nie chcąc się ustąpić, upominała się o siebie, podarowali jej pryczę z brzoźowego drzewa i pozwolili w jednym pokoju jej własnego domu zamieszkać. Przyjechała do Lwowa, ażeby odebrać należność za kwity, które wydali jej za wzięte drzewo w lesie, bez oznaczenia ceny. Drzewo było twarde, więc z góry jej powiedziano, że zapłacą nie na wagę, tylko na kubiki metryczne. Ofiarowano 10 koron.

- Ale jakim prawem? – pyta pułkownika Mazzottiego. – Wszak na Węgrzech płaci się 100 koron i więcej.

- Ale tu nie Węgry. – odpowiada Mazzotti. – Płacimy ile sami oceniamy. Mógłbym dać tylko koronę i też musiałaby pani wziąć.

Gdzież są uczciwi ludzie w tej Austrii?

Do Wiednia przyjechał ktoś z prowincji i wypytuje swego znajomego o stosunki w mieście:

- Kto są ci dwaj panowie, którzy dopiero przeszli?

- Jeden jest przy aprowizacji, a drugi to także Żyd.

- A ci dwaj wojskowi?

⁵² Łuka – miejscowość oddalona o ok. 40 km. na południe od Buska.

- Jeden jest oficerem aktywnym, a ten drugi też nigdy nie był na froncie.
- A ci w mundurach, to co za jedni?
- Ten jest dostawcą wojskowym, a drugi, też siedział w areszcie.
- Któż są te dwie panie?
- Jedna jest pielęgniarką, a druga też w poważnym stanie.
- A kto ta pani?
- Bardzo porządna osoba, ale jak widzisz idzie sama...

Mojej córce raz dają znać, że jacyś żołnierze zabierają jej siano. Pojechała o szkodzie przekonać się naocznie. Widzi, że sterta mocno rozpoczęta i ślad sanek. Kazała jechać za śladem. Ku wielkiemu zdziwieniu zajechała na podwórze kwatery rotmistrza huzarów, Węgry, dobrze jej znanego.

- Pańscy ludzie kradną moje siano.
- co też pani nie wymyśli. Mamy siano pełne magazyny w Krasnem. Zresztą zawołam wachmistrza.

Wachmistrz się zaklął, i powiada, żeby tych, którzy to mówią zawołać.

Ekonom, który doniósł o rabunku, z góry zapowiedział mojej córce, że świadczyć nie będzie i wszystkiemu zaprzeczy. On lubi mieć kości całe, a i domek jego w miasteczku łatwo Węgrom przyszłoby zapalić. Po powrocie do domu wezwała na naradę innego wojskowego.

- Zrobię z tym porządek, ale niech mi dadzą znać, jakby kto brał siano.

W parę dni później, historia się powtórzyła, dają znać. Wojskowy pojechał, rozpędził Węgrów, nakrzyczał, nahałasował. Po południu przyjeżdża rotmistrz do mojej córki.

- Rzeczywiście, kazałem im postarać się o siano gdzieś bliżej, ale nie wiedziałem, że właśnie do pani stert się dobiorą. Ja to wyrównam.

- Zapewne pan rotmistrz oszacuje i zapłaci.

- Niestety kwitu wystawić nie mogę wobec tych magazynów w Kurowicach. A nie chce pani przecież, żebym z własnej kieszeni płacił. Mogę ofiarować cztery węgierskie wózki. Wartość ich szkodę wyrówna.

Cztery wózki są własnością armii, więc armia zapłaci.

W Stronibabach gospodarstwo szło, o ile być może, gorzej jeszcze, niż w Odnowie. Jest to ściślejszy okręg wojenny, i ani jednego budynku gospodarskiego. Za to więcej tam wojsko w polnych robotach pomaga, choć nie jeden gospodarz za tę robotę pięknie by podziękował. Ale nie ma wyjścia. I tak, na wiosnę 1916 r., gdy rozpocząć się miały te roboty, kazał naszemu rządcy porucznik Standt kupić koniecznie dziesięć pługów. Rządca żałował trochę na ten wydatek pieniędzy i tłumaczył się, że nigdzie dostać nie może.

Wtedy porucznik kazał sobie zaliczyć 900 koron, bo on pługów dostarczy. Tymczasem wojsko orz swymi pługami, o naszych nie słyhać nic. W sierpniu, kiedy już nic do orania nie było, prosimy porucznika, żeby nam te pieniądze zwrócił. Nie pomaga. Piszemy. W końcu idziemy do niego po raz trzeci. - Pieniądze są już oddane do *operationskasy*, a stamtąd trudno je wydobyć, procedura bardzo długa...

Z początku mam wrażenie, że jako właściciel dwóch dużych majątków na Węgrzech, o których każdemu szeroko i długo prawił, zaliczy sam te marne 900 k., a powolnym tempem odbierze sobie z kasy. Każdy z nas by to zrobił.

- Jest dziesięć pługów w Kurowicach, chociaż już niepotrzebne, przyznaję, ale mogą sobie państwo zabrać.

Do Kurowic od nas mil cztery, koni mamy mało, zamiast posłać, napisaliśmy zażalenie do komendy. Porucznik Standt przysłał nam swoimi końmi pługi. Myślałam, że będzie pogniwany o to zażalenie, ale jakoś nie. widocznie dobry to sposób, upominać się o wszystko, aż do skutku.

Nasienie owsa dali nam w 1916 pomieszone z trzech nierówno dojrzewających gatunków, zebraliśmy same plewy.

Na tę wiosnę, 1917 roku, staramy się zawczasu, podajemy prośbę do komendy. Obiecują, że dostaniemy na kredyt, do oddania ziarnem w jesieni. Naszego ziarna nie mamy nic, z obawy przed najściem Moskali, kazali nam

wszystko sprzedać i nic na nasienie nie zostało. Już zasialiśmy część przy pomocy wojska. Raptem nowy rozkaz. Zapłacić wszystko z góry i to po cenach wiele wyższych, a jak nie to zabierają, co zasiane to już będzie ich własnością. Zapłaciliśmy kilkanaście tysięcy koron! Teraz głoszą, że wyszedł nowy rozkaz. Ziarno będzie pokredytowane, a my z naszym kwitem – do intendentury, ale jeżeli tam wrócą, to nie skoro! Co już raz intendentura w swoje pochwyciła szpony, nie łatwo będzie wydrzeć!

Władze polityczne odgrywają teraz wobec rekwizycji rolę naszych opiekunów. Czuwają, żeby nam ponad pewną normę nie zabierano, ale też i odpowiedzialni są za nadużycia, jeśli byśmy czegoś za wiele przechowali. Biurokraci austriaccy nigdy zbyt się gospodarstwem nie interesowali, teraz zmuszeni są na równi z dygnitarzami wojskowymi od wstążek i gumy, zapoznać się z kartoflami, nie tylko jak wyglądają po wyjęciu ich z garnka, ale też, jak z nimi postępować po wykopaniu. Na przykład byłoby rzeczą nader ciekawą, co odpisał starosta w Bóbrce, gdy w jesieni 1916 dostał od c. k. Komendy surową naganę tej treści:

Doszło do naszej wiadomości, poufną drogą, że pan Henryk Czajkowski, właściciel Bóbrki, ukrył przed wojskowością znaczną ilość kartofli, a to w ten sposób, że wywiózłszy je w pole, okrył słomą i obsypał ziemią. Należy zarządzić ściśle dochodzenie.

Gdy na wiosnę 1917 rewizje i rekwizycje wojskowe funkcjonowały z taką zaciekłością, że dla rodziny z sześciu osób złożonej pozostawiano na przeżywienie do nowych 30 kilogramów kartofli, zrozpaczeni chłopcy udawali się do komendantów etapnych z prośbą, żeby im wydzielili choć nasienia, bo chcą w polu posadzić. Zdarzyło się, że jeden z nich odpowiedział:

- Jak to, wsadzić kartofle do ziemi nigdy nie pozwolę. A gdzież nasienie, czemu nasienia nie macie?

Przy ewakuacji wiosek pod Brodami zabrano chłopom krowy. Tylko po jednej mogli z sobą pędzić, o ile furami jechali. Wszystkie sztuki spędziła wojskowość w jedno wielkie stado z 2600 sztuk złożone, i cały konwój poleciła oficerowi, Niemcowi, by je pędził z wojskowymi ratajami do Przemyśla. Oficer, aptekarczyk wiedeński, jechał za stadem dzień cały w wielkim skwarze i umęczeniu, pod wieczór uznał, że i on i stado potrzebuje wypoczynku i pokrzepienia. Właśnie przy drodze rozciągał się łąn wspaniałej koniczyny, kazał wpędzić tam krowy, a sam pojechał szukać właściciela, by za koniczynę zapłacić. Jakież było zdziwienie biednego aptekarza, gdy powróciwszy po dwóch godzinach, zastał żołnierzy biegających bezradnie, a dwa tysiące krów leżących na polu w śmiertelnych podrygach. Odratowano niewiele.

Artykuł pani Młodnickiej⁵³

Niech żywi nie tracą nadziei

Na tydzień przed publicznym ogłoszeniem proklamacji, dnia 5 listopada, zupełnie niespodzianie usłyszeliśmy tę wielką nowinę. W pierwszej chwili uczuliśmy radość na myśl o wolnej ojczyźnie. Takie to było raptowne, że uwierzyć było trudno, a radość nasza miała dwa powody. Najpierw cieszyliśmy się, że nam Polskę dają, a potem, że za nią Prusakom nie potrzebujemy dziękować, bo są do tego konicznością zmuszeni. Gdyby byli zaraz po zajęciu Królestwa, od razu ogłosili jego niepodległość, byłaby prawdopodobnie ta sprawa przyjęła zwrot dla nich korzystny. Uwierzylibyśmy w ich dobrą intencję. Prawdopodobnie stała by już armia polska i to stanowczo po ich stronie. Teraz, po roku ciężkiej pruskiej gospodarki, po zniszczeniu i zrabowaniu tak majątków, jak lasów, trudno się już łudzić ich rzekomą dla nas życzliwością. Zresztą,

⁵³ To zaledwie kilka zdań, jakie figurują pod tym nagłówkiem w pamiętniku. Może autorka jego zrezygnowała z umieszczenia artykułu? Pani Młodnicka – spokrewniona z rodziną poetki – Maryli z Młodnickich Wolskiej i Karola Młodnickiego – artysty malarza, przyjaciela Artura Grottgera. Ich córka – Beata Obertyńska mieszkała wraz z mężem w majątku w Stronibabach, podobnie jak i rodzina autorki niniejszego pamiętnika.

zagarniając całą Litwę dla siebie, tak mało nam właściwie dają, ze w stosunku do krzywd, cierpień i zniszczenia, jakiego wskutek wojny doznała Polska, bardzo to znikomą stanowi rekompensatę. "Bierz Michale, co Bóg daje" mawiają starsi i doświadczeni ludzie, a już to korzyść dla nas wybitna, że na wielkim, powojennym kongresie europejskim Polska będzie mieć głos.

Tego samego dnia, odruchowo, urządziła młodzież akademicka manifestację przed kolumną Mickiewicza. Były tam przemówienia. Śpiewano patriotyczne pieśni. Choć zawiadomień i zaproszeń nie było, zeszły się tłumy. Pośpieszyło też wiele osób z inteligencji. Wprawdzie rozmów nie słyszeliśmy i nic widać niebyło, bo miasto słabo oświetlone. Dobrze że na taką samorzutną demonstrację nie zeszły się same lwowskie kucharki i łobuzy uliczne, jak to czasem zdarza się, a w tym wypadku byłby już wstyd.

Przyjeżdżając w tydzień później ze wsi w niedzielę, około dziesiątej, zastałam uroczystość w pełnym rozwoju. Z daleka widać było Wysoki Zamek rojący się od ludzi, jakby jakieś wielkie mrowisko. Tam celebrował prałat B. mszę polową. Miasto ślicznie udekorowane, przed niektórymi oknami trzeba było stawać w zachwycie, zresztą wszędzie polskie chorągwie, różne draperie i dywany zwieszały się z balkonów.

Pochód trwał bez końca. Patrzyłam na ulicy Karola Ludwika. Właśnie przeciągały cechy rzemieślnicze z chorągwiami, reprezentacje różnych towarzystw w polskich strojach, szkoły męskie i żeńskie etc. Bawiły mnie obserwacje nad Prusakami. Stali gromadkami, miny poważne, ręka przy czapce nieustannie. Te uroczyste fizjonomie nie zdradzały wcale, co się w ich mózgach dzieje.

W tym położeniu niejeden z nas byłby miał wyraz twarzy co najmniej figlarny, jeżeli nie drwiący. Niemki, żony oficerów, których podówczas dużo było we Lwowie też gromadziły się na trotuarach i okrzykiwały z zachwytem. *“Oh, wie reizend diese Polinnen”*⁵⁴ słyszałam, gdy szło kilka szeregów nieciekawych twarzyczek i postaci, tyle tylko, że w białych atlasowych spódniczkach, czerwonych lub szafirowych kontusikach, i takich że rogiatki, puszkami obsypanych, na wyfryzowanych główkach. Niechże im będą *“reizend”*, bo co do mnie, byłabym je z gustem przeniosła do jakiej lichej operetki.

Czy na naszych twarzach znać było radość? Stanowczo nie, wątpiliśmy w możliwość róż bez cierni i przyszłość okazała się słuszna. Tu i ówdzie znajomi witając się, wieszowali sobie, że dożyli tego dnia, ale tę niby dobrą wiarę mroziły wzruszenia ramion lub uśmiech sceptyczny osoby, do której

⁵⁴ *Wie reizend diese Polinnen* (niem.) - jakie urocze te Polki.

były kierowane. Były jeszcze patriotyczne zebrania w kilku miejskich lokalach, najładniejsze w teatrze z patriotycznymi przemówieniami. I tak minął dzień, który powinien być być najpiękniejszym w życiu każdego Polaka. Każdy czuł, że to jeszcze nie to, co być powinno!

Śmierć cesarza Franciszka Józefa też nas bardzo nie poruszyła. Od dawna już można było jej oczekiwać. Był dla nas dobrym. Podobno kochał Polaków i opowiadano, że dlatego sprzeciwiał się przyłączeniu Galicji do Królestwa Polskiego. Przyszłość okaże, czy tak było rzeczywiście, czy też chytryść pruska ukuła tę bajeczkę. Oprócz koronacji Karola nawet nie czytaliśmy w gazetach. To, co w zwykłych pokojowych czasach mogło wydawać się bardzo interesującym, teraz schodziło na plan ostatni, wydawało się banalnym. W kinematografach przedstawiano te uroczyste obchody. Widziałam tylko koronację na króla węgierskiego⁵⁵. Byłam tym widokiem zachwyconą na równi, gdyby to było przedstawienie zaślubin Doży weneckiego lub coś podobnego z zamierzchłych czasów. Czuje się już przeżytek innej epoki w tych wspaniałych uroczystościach.

⁵⁵ Cesarz Franciszek Józef I zmarł 21 listopada 1916 r. Karol I Habsburg został koronowany na króla węgierskiego 30 grudnia tegoż roku.

Pomimo ciężkich warunków wojennych Karol, zwany tu powszechnie "*Der Plötzliche*"⁵⁶ nie uczynił dotąd, ani nie powiedział, nic takiego co by nas, Polaków, niemile dotknęło. Stara się wiedzieć wszystko, co się w kraju dzieje. O nadużyciach lubi się przekonać osobiście. Raz dowiedział się, że w pewnej kawiarni na Kahlenbergu zbiera się całe towarzystwo młodych Żydów, którzy zwolniwszy się z wojska pod różnymi pozorami, na wojennych *Gescheftach* zarobione pieniądze puszczają na karty i szampana. Znalazł się tam, spędził przyjemny wieczór, jako skromna jakaś figurka, nazwiska wszystkie zapamiętał i na drugi dzień kazał porozsyłać dla każdego wezwanie na front.

O cesarzowej⁵⁷ wszyscy mówią z uwielbieniem. Podobno w przebraniu, stawiała kilka razy pod sklepami spożywczymi w ogonku, ażeby się przekonać, czy żołnierze pilnujący porządku zbytnio nie maltretują i nie potracają. Raz ją jednak poznali i wyprawili szaloną owację.

Dobra ma być, rozumna, i polityką interesuje się szczerze, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Pragnie podobno całym sercem pokoju, ale to pragnienie powszechne. Z wyjątkiem kapitalistów i różnych rozbijających pieniądze czarnych charakterów, każdy pragnie pokoju.

⁵⁶ *Der Plötzliche* (niem.) – nagły. Aluzja do błyskawicznej koronacji nowego cesarza.

⁵⁷ Cesarzowa Zyta, właśc. Zyta Burbon-Parmeńska (1892-1989), córka ostatniego księcia Parmy.

Gazety czytujemy prawie że ze wstrętem. Ostra cenzura i nieprawdziwe często notatki dziennikarskie sprawiają, że jasnego, słusznego poglądu na sytuację wyrobić sobie nie można. Te zaś wieści, które jakby podmuchem przyniesione, dosięgają nas z zagranicy, wprowadzają nas w dziwne pojęć pomieszanie. Przynosi to prawie cierpienie ludziom, którzy już sobie wyrobiwszy jakieś przekonanie, pozostają konsekwentni w zdaniu i pojęciach. Spotyka ich ciągle ta przykrość, że muszą wysłuchiwać zapatrywań wręcz ich przekonaniom przeciwnych. Na przykład dochodzi nas wieść, że w Szwajcarii wielu Polaków podpisało protest przeciw proklamacji Królestwa Polskiego. Wymieniają po nazwisku. Wiemy, że to są ludzie, którym braku patriotyzmu zarzucić nie można. Co im powiedziano? Jakie im koalicja porobiła obietnice? Sienkiewicz, prawie na łożu śmierci, oparł się namowom i podpisać nie chciał⁵⁸. Wiec oburzamy się na tamtych naszych rodaków, ale czy sami jesteśmy tą proklamacją tak bardzo zachwyceni?

⁵⁸ Chodzi o tzw. „Protest Lozański” ogłoszony 11 listopada 1916 r. przeciwko proklamacji Królestwa Polskiego z dn. 5 listopada 1916. Protest podpisali m. in.: Roman Dmowski, Kazimierz Dzierżykraj-Morawski, Jan Jordan-Rozwadowski, i wielu przedstawicieli polskiej arystokracji o sympatiach proendeckich na czele z ks. Józefem Puzyną. Henryk Sienkiewicz faktycznie nie podpisał tego protestu, zmarł w Vevey 15 listopada tegoż roku.

Dawno już wymyślono anegdotkę o szlachcicu podolskim, dobrym patriocie, który nigdy nie mógł zrozumieć, co to jest austriacka, pruska, czy moskiewska orientacja.

- Wyobraź sobie – tłumaczy mu ktoś, chcący go objaśnić. – Że jesteś na wojnie, i każą ci strzelać do Prusaka, Austriaka i Moskala. Do którego byś najprzód wystrzelił?

- W kupę strzelałbym panie dobrodzieju, w kupę!

Dochodzi do tego, że my tu we Lwowie, ci sami, którzy dwa lata temu wzdychaliśmy, by nas oręż niemiecki od azjatyckiej nawały obronił, mówimy zupełnie szczerze: byli dzicy, prawda, zwłaszcza kozacy rabowali na równi z honwedami i prusakami, ale przecież coś umieli uszanować, nie wieszali księży, nie rabowali kielichów, ani monstrancji po kościołach, oszczędzali klasztory, nie grali w karty na ołtarzach. Byli w kraju sobie obcym, a pomimo, że się swoją kulturą nie szczył, umieli zdobyć się czasem na gest szlachetny, dawali ubogim, żywili głodnych. Dziś w imię prawa i porządku systematycznie głodzeni i ze skóry obdzierani, musimy wszyscy przyznać słuszność szlachcicowi podolskiemu.

O ile nas wieści dochodzą, w Warszawie ludzie padają z głodu na ulicy. Śmiertelność wzrasta. Legioniści dostają na obiad kilka kartofli i po osiem śliwek suszonych. Dziwna dieta, ale celu nie osiąga i pokorniejszymi legionistów nie czyni. *Borsche* znikają z powierzchni ziemi, ile razy samotnie po

przedmieściach krąży, a było już kilka krwawych rozpraw. W Zgierzu zapędzili Prusaków do rzeki, i coś sześćdziesięciu utopili. Na Litwie ma być strasznie. Rekwirują. Zabierają, nie troszcząc się o ludność. W Wilnie 95 % dzieci umiera. Rada miejska upomniała się o żywność, motywując, że tyle osób, a zwłaszcza dzieci, umiera, że rady dać nie mogą towarzystwa pogrzebowe, które nie mają tyle koni, więc ciała nie pochowane leżą po dni parę. Miast chleba, dali Prusacy po parze koni każdemu towarzystwu pogrzebowemu. Podkreślili swe względem nas intencje. Wzruszeni tą straszną śmiertelnością wśród dzieci, obywatele z okolic Wilna ofiarowują się, że każdy dwór przyjmie po kilka dzieci na pożywienie. Otworzyli na ten cel składkę między sobą, i oddali sumę Gubernatorowi na koszt pożywienia. Gubernator kazał wystawić imienną listę tych hojnych właścicieli. Pieniądze zachował, a do napisanych w liście dworów wysłał rewizję w celach rekwizycji. Dzieci pozostały w Wilnie!

Niedawno miał się zdarzyć we Lwowie następujący wypadek. Do fiakra, którym jechał legionista, wpakował się oficer pruski. Legionista robi uwagę, że przedtem fiakra wynajął.

- *Ich bin aber ein Deutscher Offizier.*

- *Ich bin auch ein Offizier* – powiada legionista

- *Ja, von einer Saubande*⁵⁹.

Na to legionista ciął pałaszem i na miejscu zabił Niemca. Było to jego obowiązkiem, bronić honoru swej armii. Zamknęli go Austriacy na 24 godziny, a potem wysłali gdzieś, by o nim słuch zaginął, nic mu więcej złego nie czyniąc.

Hrabina Della Scalla ewakuowana z Kołodróbki⁶⁰, mieszka od roku we Lwowie. Wiedziała, że całą tę wieś wywieziono, ale gdzie, nie miała wyobrażenia. Niedawno trzech gospodarzy zgłosiło się do niej. Uciekli z Chocenia.

- Wszystkich razem wzięto?

- Było nas z Kołodróbki 750 osób.

- A tamci zostali w barakach?

- Tamci pomarli, żyje jeszcze oprócz nas osiemnastu.

- Czy głód cierpieliście?

- I głód i choroby, a najgorzej, że do roboty nie puszczali. Toż ginąć choćby z tego, tu czas śliczny. Człowiek by tę świętą ziemię całował, a orał, siał, a tu siedz darmo, bo ruszyć się nie wolno! Dajcie nam co robić, bo nas to zabije!

⁵⁹ *Saubande* (niem.) – dosł. świńska banda.

⁶⁰ Kołodróbka – wieś nieopodal Zaleszczyk. Hrabina **Julia Delia Scalla** wraz z hr. Gołuchowskim byli mecenasami okolicznych miejscowości, fundatorami m. in. kościołów w Nowosiółce Kostiukowej i Sinkowie.

Do pani Skałkowskiej w czerwcu 1917 przysłała młoda, może trzydziestoletnia kobieta, skromnie ubrana, i stojąc przy progu prosiła o coś do zjedzenia, gdyż umiera z głodu z dwojgiem małych dzieci. Pani Skałkowska przyniosła herbaty, trochę chleba i mięso, które pozostało z obiadu. Trochę piła i jadła, resztę zachowała na później i opowiedziała całą swoją niedolę:

Dzieje mi się, że nie ma pod słońcem nieszczęśliwszej ode mnie istoty, a przecież mogło mi być dobrze na świecie. Nazywam się G. z domu Warchałowska. Mąż mój jest lekarzem, mieliśmy małą realność w Kołomyi, a gdy mąż mój i szwagier poszli na wojnę, pozostałam w domu z matką moją i teściową. Obie były w sile wieku. Tam przetrwałyśmy inwazję rosyjską. Gdy Austriacy Kołomyję odebrali, dowiedziałam się, że obydwaj są w niewoli. Jeszcze nie rozpaczalam. Dopiero, gdy wojska nasze zaczęły się cofać przed rosyjskimi, ewakuowano Kołomyję i nas trzy z dziećmi wywieziono. Broniłam się jak mogłam. Błagałam, by nas na miejscu pozostawiono, nie pomogło nic. Wpakowano nas do pociągu i oparliśmy się aż w barakach Chocenia. Jak tam było! Słów na opis nie staje. Cholera, tyfus, ospa, dyzenteria nie opuszczały baraków. Nie oddzielano chorych od zdrowych, zamykano wszystkich razem i chorzy wili się w bólach, konali w naszych oczach. Wychodzić nie było wolno, i miałam ciągle wrażenie, że wszyscy skazani jesteśmy na wymarcie. Jedzenie okropne. Rano lurka, niby kawa bez

mleka, na obiad wodnista zupa z pływającymi po niej z rzadka liśćmi pokrzywy, chleba nic. Na wieczór też sama zupa. Chcąc dzieciom kupić mleka, zarabiałam praniem bielizny żołnierskiej. Było to wstrętne, ale opuszczać baraków, by lepszej szukać roboty nie było wolno, a tak czy owak robactwem byłyśmy okryte. Dopóki matki obie żyły, miałam choć dla dzieci w czasie mej pracy opiekę. Ale po roku takiego odżywiania wpadły obie w chorobę, dostały wścieklizny żołądka. Bezustannego uczucia głodu i czkawki połączonej z mdłościami. Wołani przez mnie lekarze kiwali głowami, a gdy po jakimś czasie objawy te przybrały zastraszającą formę, zadali im jakieś krople, po których w godzin kilkanaście żyć przestały.

Zostałam sama z moimi maleństwami. Chciałam uciekać, ale z dwojgiem dzieci niepodobne, nie było też w czym. Suknia i trzewiki, w których porwano mię z Kołomyi, dawno poszły w strzępy, miałam na sobie rodzaj szlafroka uszytego z siennika tamtejszego, bez jakiegokolwiek pod spodem bielizny. Upomniałam się o zasiłki wojenne, które mi się po mężu należały. "Jesteś na wikcie rządowym" odpowiadano mi. "Nie potrzeba ci zasiłków". Wyrzucali mię z kancelarii. Żołdactwo potrącało. Przestałam się upominać. Dwa tygodnie temu opróżniają baraki, dla nowej partii. Nas wywożą na inne miejsce kaźni. Powolny nasz pociąg stawał na każdej stacji, często równoległe z pociągiem pełnym wojska. Wtedy wszyscy

zebrząc, wyciągaliśmy do żołnierzy ręce, a oni nam rzucali kawałki chleba, lub centy. Zaczęłam zbierać pieniądze skwapliwie, i o чудо, złożyło się tyle, że mi wystarczyło na bilet do Lwowa. Na pierwszej stacji porzuciłam naszą partię. Nie mam we Lwowie krewnych, ani przyjaciół, ale ufałam, że znajdzie się tu ktoś, który może zna męża i mną się zaopiekuje. Przyjechawszy, poszłam do Ligi Kobiet prosić o nocleg i przytułek dla dzieci. Zażądały ode mnie koronę dziennie, a ja pieniędzy nie miałam nic! Poszłam do Ochrony Dziecka, w nadziei, że umieściwszy je, łatwiej mi przyjdzie szukać czegoś, o co ręce zaczepić bym mogła. Nie przyjmą. Trzeba podać na sesję, tam dopiero zdecydują. Wezmą lub nie!

Powróciłam na dworzec. Dwie noce spędziłam pod gołym niebem. Na drugą upatrzył mnie sobie jakiś Niemiec, oficer. "Chodź na spacer" proponuje mi. Ogarnęła mnie wściekłość "idź precz" odpowiedziałam po niemiecku. "Ginę z głodu z dziećmi. Spacerować nie będę". Zaklął, potrącił mego chłopczyka i odszedł. Nawet jak psu nie rzucił jałmużny! Trafiłam w końcu do nauczycielki znajomej mi z Kołomyi. Ta mię przyjęła. Koleżanki jej złożyło się, by Mie przyodziać. Teraz starać się będę o zasiłki, gdyż papiery mam w porządku, może przecież teraz po tym piekle odetchnę...

Teraz mamy w Rosji rewolucję. Ścierają się tam różne prądy, nie wiedzieć jeszcze, który się na wierzchu utrzyma. W całej Europie chwieją się trony. A my coraz spoglądamy za zegar dziejowy i pytamy – czy nadeszła już nasza godzina?

KONIEC

Spis treści:

Wprowadzenie	s. 5
<i>Pamiętnik Galicjanki</i>	s. 15
• Pierwsze wrażenia	s. 15
• Zgrzyty i niepokoje	s. 29
• Z dni grozy	s. 38
• Smutne dzieje	s. 44
• Różnie bywa na tym świecie	s. 54
• Co dalej?	s. 68
• Z dwóch przeciwnych krańców	s. 78
• Katastrofa pod Łuckiem	s. 85
• W mieście	s. 104
• Na wsi	s. 116
• Zbiory	s. 125
• Artykuł pani Młodnickiej: <i>Niech żywi nie tracą nadziei</i>	s. 141

Tagebuch der Galizienerin (1914-1917)

Das Tagebuch der Magdalena Bylczyńska das ist die von dem Augenzeugen der Kriegereignisse 1914-1917 aus den Jahren erzählte Geschichte. Das ist das Bild des Krieges in Galizien. Die literarische Urkunde und das Zeugnis jener unruhigen Tage. Die Apokalypse des brennenden Galiziens.